TYDZIEŃ

Nr 13 (37) ROK II

30. III. 1947

CENA 12 ZŁ



W Czechosłowacji: U POETÓW · DZIEŃ POWSZEDNI

![tak i nie]

TAK I NIE

Koniec niedorozwoju politycznego Niemiec


Molotow

BARDZO rzadko zdarza się, że wielkie mocarstwo znajdzie się w sytuacji, w której zwycięzca narzuca mu swą wolę, sięgającą do samych głębin życia narodu. Wypadek taki nie miał miejsca od epoki napoleońskiej.

Na skutek klęski w sytuacji takiej znajdą się Niemcy i Japonia. Projekt nadania z góry Niemcom nowego ustroju i nowej konstytucji jest już faktem zupełnie konkretnym. Mimo pozornej rozbieżności koncepcyjnej między projektem radzieckim, opierającym się na jedności politycznej Niemiec, a projektem francuskim, opartym na zasadzie federalizacji — różnica jednak nie jest zasadnicza. Bo projekt radziecki, mimo dążenia do jedności Niemiec, przewiduje jednak szeroką autonomię prowincyj, czy krajów i potępia jedność opartą na wzorach hitlerowskich, która przekreśliła całkowicie wszelką autonomię i oznaczała zupełną centralizację władzy.

Projekt radziecki przewiduje zatem obok parlamentu i rządu centralnego również parlamenty i rządy prowincjonalne, a obok konstytucji dla całych Niemiec również konstytucje dla poszczególnych krajów niemieckich, względnie dla prowincyj, gdyż szczegóły podziału terytorialnego Niemiec nie zostały jeszcze przepracowane na konferencji moskiewskiej.

Na czym zatem polega różnica między projektami radzieckim i francuskim? Różnice są raczej natury formalnej, aniżeli zasadniczej. Zależeć one będą od zakresu władzy centralnej w stosunku do władz krajowych. Bo projekt francuski przewiduje mimo federalizacji również rząd centralny i ogólno-niemiecki parlament dwuizbowy. Czy ciężar władzy spoczywać będzie na rządzie centralnym, czy na rządach krajowych i czy najpierw należy tworzyć władze centralne, a potem krajowe, czy na odwrót.

Te rozbieżności nie będą chyba trudne do usunięcia i wyłoniona na Radzie Ministrów Spraw Zagranicznych w Moskwie komisja trzech zdoła uzgodnić oba projekty.

Ustrój nowych Niemiec nie będzie podobny do żadnych poprzednich wzorów, nawet do wzoru bismarkowskiego, który ustanowił w Niemczech hegemonię Prus i pruski Berlin uczynił stolicą Niemiec, a pruską dynastię Hohenzollernów obdarzył dziedzicznym tytułem cesarskim. Ta hegemonia Prus nie była tylko formalna, ale i istotna, na skutek rozrostu terytorialnego Prus w łonie Rzeszy Niemieckiej. Prusy nie były krajem niemieckim w Rzeszy, lecz państwem w państwie, narzucającym swą wolę całej Rzeszy, mimo pozornej autonomii, a nawet samodzielności poszczególnych krajów niemieckich.

Republika Weimarska pozostawia ten stan rzeczy nienaruszony, usuwając tylko dynastię. Dopiero Hitler przekreślił tradycje i bismarkowskie i weimarskie, likwidując całkowicie autonomię poszczególnych krajów niemieckich i wprowadzając nowy podział terytorialny Niemiec na okręgi (Gau).

Jeśli idzie o podział terytorialny przyszłych Niemiec, to będzie on również tworem zupełnie nowym. Decyzją mocarstw Prusy przestały istnieć, a spuścizna po nich musi być w jakiś sposób podzielona. Mocarstwa anglosaskie dokonały już na terenie swych stref okupacyjnych pewnego podziału, który nie odpowiada podziałowi terytorialnemu z epoki Bismarcka i Republiki Weimarskiej.


Bidault

Zwycięskie mocarstwa narzucą również narodowi niemieckiemu nową konstytucję, wprowadzającą po raz pierwszy w życie narodu niemieckiego zasady prawdziwej demokracji. Konstytucja weimarska bowiem pozostawiła pod tym względem wiele do życzenia, a Hitler cofnął naród niemiecki w jego politycznym rozwoju. Niemcy nie posiadają ani tradycyj wolnościowych, ani konstytucyjnych i pod tym względem podążają za resztą narodów europejskich, jak maruderzy. Ciekawe będzie, jak Niemcy będą się zachowywać wobec praw, nadanych im przez zwycięskie mocarstwa.

Według głosów z Moskwy, zarówno ustrój, jak i konstytucja dla Niemiec mają być tymczasowe. Po skończonej okupacji Niemcy urządzą się, jak będą chcieli. Ale może okres okupacyjny czegoś ich nauczy i pozwoli im ocenić dobrodziejstwa prawdziwej demokracji.

Spadek po Prusach

PRUSY nie istnieją. Większość obszarów powróciła do prawowitych gospodarzy. Małe skrawki królestwa Hohenzollernów i junkrów zostały włączone do poszczególnych prowincji niemieckich.

Nie ma już Prus, nie ma latyfundiów na „ziemiach wschodnich", ale zostali junkrzy, pozostała junkierska mentalność, duchowa matka hitleryzmu. Nie została zniszczona i znalazła przytułek w Bawarii. Ten katolicki kraj, chętnie kokietujący niektóre koła anglosaskie frazesami separatystycznymi, stał się schronieniem i opiekunem hitlerowców. Nie należy się temu dziwić, gdyż Bawaria jest kolebką nazizmu. Monachium, miasto gorliwie pokazujące przyjezdnym dom, w którym mieszkał Hitler, zdobyło rekord w dziedzinie denazifikacji. Spośród 50.000 członków partii trybunał denazifikacyjny uznał ośmiu, dosłownie ośmiu, za wybitnych hitlerowców, a 54 za biedne zbłąkane owieczki. Reszta, to jest 49.938 byłych członków partii narodowo - socjalistycznej nie było w ogóle hitlerowcami!

Gdyby ktoś się zapytał, po co ta cała żmudna procedura sądowa, otrzymałby zapewne odpowiedź: Pour le roi de Prusse.

Ostrze na ostrze

ROZPĘDZIŁ SIĘ

Weźmy do ręki jakąkolwiek gazetę. Nie ma pisma i nie ma dnia, w którym byłoby cicho o Niemcach i ich sprawach. Dowiadujemy się o nieustannej działalności hitlerowskiego podziemia, czytamy wstrząsające zeznania świadków w procesie Hoessa, wspomnienia nie tak dawno minionych lat, odsłaniające w całej grozie metody działania Niemców — wychowanków faszystowskiego systemu, śledzimy uważnie przebieg obrad moskiewskich i stwierdzamy na podstawie toczących się tam między sojusznikami dyskusji, że naród niemiecki daleki jest jeszcze od demokratycznych form myślenia, że potrzebna jest długotrwała okupacja i akcja denazifikacyjna. Nawet od czasu do czasu dobiega jakiś rozsądny, lecz niestety pojedynczy i odosobniony głos wołającego na puszczy niemieckiej moralności — o tym, że cały naród niemiecki jest odpowiedzialny za zbrodnie wojenne.

Okazuje się jednak, że istnieją Niemcy inni. Niemcy łagodni jak baranki. Niemcy — skruszeni i żałujący swych win. Niemcy — jakich nie znamy. I to gdzie! Na naszych Ziemiach Zachodnich... Ot takie romantyczne, o łagodnym klimacie, ciche wyspy poskromionych panów świata, rezerwaty, w których wojownicy Indianie złamali wojenne łuki, ćmią fajkę pokoju i sieją proso.

O tych rewelacyjnych przemianach duchowych pisze wnikliwie kolega Karol Pędowski w „Gazecie Ludowej" Nr 77 w reportażu ze Szklarskiej Poręby pt. „W pisarskim uzdrowisku".

Przytaczamy dosłownie: „Niemców jest jeszcze sporo. Są zupełnie inni od tych, którzy pozostali w mojej pamięci. Prości, uprzejmi, uśmiechnięci nawet, starają się być usłużni każdym gestem i słowem. Nie ma w nich już nic z dumnego i nieprzystępnego Herren Volku. To było aż rażące. Jedna klęska — i gdzieś się podziała cała niemiecka buta i pycha. Odżałowano wszystkie czyny, powróciło poczucie miary. Własne nieszczęście zrobiło z nich zwykłych ludzi, którzy pragną żyć. Uśmiechając się życzliwie, dawni żołnierze niemieccy w resztkach mundurów i w czapkach Wehrmachtu wsłuchują się w polskie słowa, usiłują zrozumieć. Wybiegają daleko na drogę, ażeby pokazać, czy objaśnić".

Czyż to nie jest wzruszające? So nett und herzig! A myśmy kiedyś gdzieś w naszej prasie czytali, że tu i ówdzie wykryto, właśnie na Ziemiach Odzyskanych hitlerowskie organizacje podziemne, Wilkołaków, czy Wehrwolfów, że tu i ówdzie na Ziemiach Odzyskanych odnajduje się raz po raz ukrytych zbrodniarzy wojennych, zdrajców, katów obozowych, że Niemcy, opuszczający nasze ziemie, at nazbyt skłonni są udzielać wywiadów prasie zagranicznej na temat stosowanego wobec nich przez Polaków „terroru", że przyłączając się do różnego rodzaju partii politycznych, istniejących w Niemczech pod przeróżnymi demokratycznymi nazwami, Niemcy ci wielkim głosem wołają o oddanie nam Ziem Zachodnich!

Tego wszystkiego kolega Pędowski widocznie nie bierze na serio. Prześlizgując się po powierzchni zagadnienia, na serio bierze za to znane powszechnie zakłamanie niemieckie, płaszczenie się przed silniejszym czy przed zwycięzcą, wyrosłe z kultu pięści i niezbyt pochlebnie świadczące o poczuciu narodowej godności.

Po doświadczeniach obu wojen światowych, gdy Niemcy okazali się niepoprawnymi recydywistami choroby militaryzmu i zaborczości, zdaje się, że — w Polsce przynajmniej — nikt nie żywi złudzeń, iż ci pozornie skruszeni żołnierze w resztkach mundurów, tak ochoczo wybiegający na drogę, aby służyć wskazówką, równie, a zapewne jeszcze bardziej ochoczo ubraliby się w nowe mundury i pomaszerowali po tej samej drodze zdobywczym, miażdżącym wszystko krokiem.

Pewne złudzenia pod tym względem, zdaje się, żywią jeszcze jedynie niektórzy nasi zachodni przyjaciele, zachwycający się rozlicznymi zaletami pracowitego, spokojnego narodu niemieckiego, rozczulający się nad jego pobożną i skromną postawą, biadający nieustannie nad nieszczęśliwym losem pokonanych i skrzywdzonych winowajców niedawnej pożogi.

A zatem — te czułe sentencje „Gazety Ludowej" — mają być pacierzem za panią matką, czy też po prostu kolega Pędowski nieopatrznie się roz—PĘDZIŁ?

AVIS

NASZA OKŁADKA



Palmowa Niedziela

Rys. Kazimierz Mann

Niemiecka partia prawicowa

GDZIE? W Hannowerze i oczywiście legalna. Według relacji pism niemieckich w zebraniu organizacyjnym wzięli udział byli oficerowie zawodowi, oficerowie rezerwy, paru nauczycieli i kilka dam z arystokracji. Przewodniczący partii wygłosił przemówienie, w którym oświadczył:

„Żądamy przywrócenia godności żołnierskiej, nie chcemy marksizmu, socjalizmu ani kapitalizmu. Nie chcemy żadnego izmu. Chcemy monarchii. Jeżeli nie podoba się wam monarchia, to możemy zgodzić się na inny ustrój. Nie ma w kierownictwie naszej partii właściwych ludzi, gdyż bardzo trudno znaleźć jednostki, któreby odpowiadały wymaganiom władz okupacyjnych. Nie chcemy denazifikacji, gdyż nie robimy różnic między Niemcami. Dla nas wszyscy Niemcy są Niemcami."

Zebranie przypominało dziwnie piwiarnię w Monachium, w której pewien Adolf zaczął wygłaszać swoje przemowy. Najbardziej zdumiewające jest jednak, że obecny na zebraniu w Hannowerze przedstawiciel brytyjskich władz okupacyjnych ograniczył się do robienia notatek.

Dziwne konszachty

AMERYKAŃSKIE Towarzystwo Remington Arms Co., ściśle związane z koncernem zbrojeniowym Dupont, zawarło w 1929 r. układ z I. G. Farbenindustrie, kupując patent na wyrób tetracenu. Jest to środek wybuchowy, używany do wyrobu zapalników. I. G. Farbenindustrie zastrzegła sobie, że zapalniki tetracenowe firmy Remington nie mogą być sprzedawane poza terenem USA.

Remington wykonywał umowę lojalnie. Tak lojalnie, że nawet w r. 1941 dostarczał Kanadzie i Anglii jedynie amunicję z zapalnikami przestarzałego typu. Mało tego, wysyłał Niemcom regularne zestawienia swoich dostaw dla rządu amerykańskiego, aby Niemcy mogli skontrolować, czy należne im tantiemy zostały dobrze obliczone.

Jeszcze ciekawszą transakcję zrobiła słynna „Standard Oil Company" z tym samym koncernem niemieckim. I. G. Farbenindustrie oddało „Standardowi" „na przechowanie" 2.000 swoich tajemnic produkcyjnych, aby uniknąć grożącej konfiskaty przez rząd USA i aby zapewnić sobie odpowiedni udział w zyskach wojennych amerykańskiego przemysłu.

Inflacja w Chinach

SYTUACJA finansowa Chin jest opłakana. Jak daleko posunęła się dewaluacja pieniądza, świadczy następujące zdarzenie:

Do oddziału Central Reserve Bank zgłosił się Chińczyk i prosił o wymianę banknotów opiewających na sumę miliona dolarów chińskich na drobne. Nie było to łatwe, ale po długich targach kasjer zgodził się. Klient odebrał drobne odcinki banknotów, załadował je na wóz i odjechał. Jak się następnie okazało, sprzedał cały transport na makulaturę, otrzymując zań trzy miliony dolarów chińskich.

TAK I NIE STRONA 4

Aleksander Then

WOJNA ŻYDOWSKA

OPISUJĄC wojnę żydów z Rzymianami, Józef Flawiusz może nieświadomie stwierdził, że Żydzi nie są narodem, który potrafi żyć w jarzmie i znosić obce panowanie. Zawsze gotowi byli do buntu i do walki wyzwoleńczej. Od najdawniejszych czasów. Dlatego Assyryjczycy, czy Egipcjanie, którzy chcieli zawładnąć Palestyną, uprowadzali do swych krajów w niewolę całe plemię żydowskie. A przecież to plemię nie niszczało, przetrwało każdą niewolę i wracało do ojczystego kraju, odbudowując mozolnie miasta i wsie, pola i winnice.

Nic przeto dziwnego, że od przeszło ćwierćwiecza wracają znów z rozproszenia, z diaspory w całym świecie do swej ojczyzny, ongiś mlekiem i miodem płynącej, wyniszczonej i wyjałowionej pod długim panowaniem tureckim, które nie dało Palestynie dosłownie nic, a ogołociło ją ze wszystkiego niemal. Bo nawet góry, na których rosły niegdyś bujne gaje oliwne, świecą dziś nagimi skałami, wśród których tu i tam tylko utrzymało się na tarasach trochę urodzajnej ziemi, niespłukanej przez wodę i nie zmiecionej wiatrem.

DEKLARACJA Balfoura z r. 1917 przyznała Żydom siedzibę narodową w Palestynie. Ale tym razem kraj nie był pustym, jak ongiś, gdy Żydzi wracali z niewoli babilońskiej, czy egipskiej. Zamieszkiwało je bratnie, lecz nieprzyjazne plemię semickie, naród arabski, który wyszedłszy przed wiekami z głębin pustyni, omal nie zawojował całej Europy. Odpłynął poza Pireneje po krwawej bitwie pod Poitiers, potem stracił panowanie nad Hiszpanią i ostał się już tylko na całym północnym wybrzeżu Afryki. Pod ich panowaniem resztki Żydów, które nie rozbiegły się po świecie, zostały wchłonięte i zarabizowane, a pierwotni Egipcjanie zamienili się na pariasów, pracujących na naród panów i wojowników. Padły pod ich naporem kolonie greckie i rzymskie rozsiane wzdłuż całego wybrzeża północno - afrykańskiego. Nie utrzymało się długo wobec nacisku arabskiego królestwo Krzyżowców w Jerozolimie.

Z biegiem wieków arabski pęd do władzy osłabł i Arabowie sami dostali się pod władanie Turków. Ale przecież siedzieli w tej Palestynie i we wszystkich krajach sąsiednich. Może tylko Maronici libańscy, chrześcijanie od dawnych czasów, nie byli otwartymi wrogami Żydów.

Dlatego wiadomo było Żydom z góry, że ich powrót oznaczał walkę i pracę.

COŻ to miała być owa przyrzeczona siedziba narodowa? Od dawnego terytorium Palestyny oderwana została większa część (około 50 tysięcy km kwadr.), z której utworzono osobny emirat Transjordanii pod protektoratem brytyjskim. Miał to być rezerwat arabski, mogący przyjąć wielu przybyszów wobec słabego zaludnienia, nieprzekraczającego dziś 300.000 mieszkańców. Jakiś dawny wilajet palestyński pozostawiono Syrii i dopiero z owej resztki około 27.000 km kwadr., równającej się powierzchnią Belgii, utworzono właściwą Palestynę, w której przyznano Żydom siedzibę narodową.

Na nędznych wydmach i błotach w nizinach, a na skalistych stokach w górach siedziały arabskie rodziny rolnicze, obrabiające płaty żyznej ziemi przedwieczną drewnianą sochą, zaprzężoną w muła, lub w parze w osła z krową. Kraj był mało zaludniony, bez dróg, a lud arabski tkwił w feodalnej niewoli u bogatych paszów. Ogromna część ziemi stanowiła własność sułtana, lub skarbu tureckiego i przejęta została przez brytyjski rząd mandatowy.

Do tego opuszczonego kraju przybywać zaczęli pierwsi żydowscy pionierzy, wyrzuceni z diaspory pogromami. Przybyli z garścią pieniędzy i z umiejętnościami, których w starej ojczyźnie zastosować nie mogli. Ze sklepikarzy i drobnych rzemieślników trzeba się było zmienić w rolników. Wyrywali gołymi rękami kamienie z ziemi, orali sochami, zwozili ubogie plony na osłach i mułach. Jak Arabowie.

Z WALK W PALESTYNIE



Żandarmeria angielska aresztuje Żyda, podejrzanego o współdziałanie z terrorystami.

TO nie była jeszcze walka. Walka rozpoczęła się dopiero później, gdy do Palestyny przybywać zaczęły nie dziesiątki Żydów, lecz dziesiątki tysięcy. Walka z niegościnną ziemią rodzoną i walka z bratnim ludem, który zamykał bramy kraju, który z bronią w ręku napadał na przybyszów.

Przez lat kilkadziesiąt ta walka była zwycięska. Poszli na moczary pionierzy, ginęli od malarii, na ich miejsce przyszli inni. Zwyciężyli. Osuszona dolina Ezdreela jest dziś śpichrzem Palestyny. Poszli w góry, zaczęli chronić i użyźniać ziemię na skalnych tarasach, sadzić na nich winnice, a na goliznach lasy świerkowe — i zwyciężyli. Poszli na pustynię Negev, poczęli w niej kopać, aż trysnęła woda, irygować, rozprowadzać wodę, stworzyli oazy i zwyciężyli. I obronili się Arabom w krwawych walkach, w których zginęło nie mało pionierów.

Nie obronili się przed Białą Księgą, którą pod naciskiem Arabów rząd brytyjski ograniczył, a potem wstrzymał imigrację Żydów do Palestyny. W maju 1939 r. po konferencji anglo-arabskiej w Londynie wydano Białą Księgę. Bo Arabowie siedzą okrakiem na kanale Suezkim, najważniejszej arterii komunikacyjnej Imperium Brytyjskiego i posiadają na swych terytoriach naftę.

PODCZAS wojny Żydzi nie walczyli z Białą Księgą. Walczyli z faszyzmem i z hitleryzmem, który niszczył Żydów w Europie. To była walka o egzystencję narodu. A po skończonej wojnie rozpoczęła się od nowa walka z Białą Księgą o Palestynę, o sprowadzenie do Ziemi Obiecanej resztek Żydów, które uszły z życiem z okrutnego pogromu, z cmentarzyska europejskiego.

Białą Księgę wydali Anglicy. Więc wojna toczy się z Anglikami, zarządcami tej ziemi. Siedziba narodowa nie wystarcza już dziś Żydom. Jak każdy naród, tak i Żydzi chcą mieć własną ojczyznę, własny kraj z własnym rządem.

O to toczy się w tej chwili wojna w Palestynie, wojna Żydów z Anglikami. Arabowie w tej walce udziału nie biorą. Czekają na wynik walki. Wokół Palestyny krążył wielki Mufti Jerozolimy, duchowy wódz Arabów palestyńskich, a gdzieś ukryty na pustyni wśród beduińskich plemion czeka swej godziny Fawzi bej, dowódca zbrojnych oddziałów arabskich, które przez trzy lata (1936 — 1939) prowadziły wojnę z Anglikami i z Żydami o Palestynę dla Arabów.

Anglicy wysyłają imigrantów żydowskich do obozu na Cyprze, a młodzi bojownicy o prawa żydowskie do Palestyny wysadzają w powietrze gmachy rządowe, minują drogi, uprowadzają oficerów i sędziów. Cywilna ludność angielska została z Palestyny ewakuowana, a w kraju ogłoszony został stan wojenny.

ALE Anglicy mają już tej nierównej wojny dosyć i dosyć mają tego poniżenia powagi Imperium. Gdy nie można oddać Palestyny żadnemu ze skłóconych narodów, gdy podział kraju odrzucają solidarnie obie strony, a status quo nie da się utrzymać — pozostała Anglii jedyna droga: przekazać mandat palestyński Organizacji Narodów Zjednoczonych. Takie rozwiązanie zapowiedział ostatecznie minister Bevin.

Rozmowa z dr Bermanem

PRZEDSTAWICIEL „Tygodnia" uzyskał wywiad z prezesem Centralnego Komitetu Żydów w Polsce, dr. Adolfem Bermanem, który odpowiedział na aktualne pytania, odnoszące się do kwestii palestyńskiej.

Dr Berman reprezentował społeczeństwo żydowskie w Polsce na kongresie w Bazylei. W rozmowie z naszym przedstawicielem stwierdził, że kongres wykazał wzmożenie dążeń narodowo-niepodległościowych wśród mas żydowskich na całym świecie. Żydzi nie wzięli udziału w konferencji londyńskiej, gdyż mimo dużych tarć między ugrupowaniami stało się jasne, że dotychczasowa probrytyjska linia polityczna musiała ulec zmianie. O ile wśród Żydów amerykańskich istnieją tendencje do orientacji proamerykańskiej, to wśród mas robotniczych europejskich i kolonizatorów w samej Palestynie orientacja demokratyczna, ludowa, oraz na Związek Radziecki znajduje coraz szerszy oddźwięk.

Mimo daleko idących różnic ideologicznych i politycznych wszystkie frakcje żydowskie łączy zdecydowana wola intensywnego budownictwa gospodarczego w Palestynie, opartego na kolektywizmie. Obecnie kolonizuje się pustynną część Palestyny — Negev, gdzie w błyskawicznym tempie powstało jedenaście żydowskich osiedli rolnych. Duży nacisk zostanie położony na rozbudowę portów. Wzmożone zostaną prace wiertnicze w południowej Palestynie, gdzie wykryto źródła naftowe. Wszystkie ugrupowania walczą o zwiększenie imigracji do Palestyny, szczególnie dla wychodźców żydowskich, znajdujących się w obozach w Niemczech i Austrii. Odnośnie walk i organizacji bojowych w Palestynie dr Berman stwierdza, że wszyscy, z wyjątkiem rewizjonistów są przeciwnikami stosowania terroru indywidualnego.

Organizacja bojowa „Haganah" jest zbrojnym ramieniem zorganizowanego społeczeństwa żydowskiego. Jest ona najliczniejsza i najlepiej uzbrojona. Oddziały szturmowe tej organizacji „Palmah" nie stosują terroru indywidualnego, lecz dokonują aktów sabotażu, oraz niszczenia wojskowych urządzeń brytyjskich w Palestynie, jak: lotniska, stacje radarowe itp. Pod względem społecznym „Haganah" składa się w przeważnej części z robotników i kolonistów o zdecydowanym obliczu demokratycznym.

Organizacja bojowa „Irgun Zvai Leumi" oraz organizacja Sterna są organizacjami nacjonalistycznymi, wywodzącymi się z ruchu Żabotyńskiego. O ile „Irgun" stosuje pewne zasady wojskowe w terrorze, to organizacja Sterna jest zwolenniczką terroru masowego bez żadnych ograniczeń.

Pod względem socjalnym obie organizacje dotychczas programu nie ogłosiły.

W żadnym wypadku — kończy nasz rozmówca — Żydzi nie przestaną walczyć o swoje prawa w Palestynie, bez względu na opory, spotykane ze strony imperium brytyjskiego.

Brazylia - stolica Brazylii

BRAZYLIA należy do krajów, które nie tylko wzbogaciły swoje konta bankowe w czasie wojny. Stany Zjednoczone Brazylii, jak brzmi oficjalna nazwa państwa, zdołały rozbudować swój przemysł, rolnictwo i eksport. Kierownictwo rządu spoczywa obecnie w rękach prezydenta — Dutra, człowieka niemniej ambitnego od swego poprzednika, dyktatora Vargasa. Ostatnio Brazylia ogłosiła śmiały plan wybudowania nowej stolicy w głębi kraju, kilkaset kilometrów od Rio de Janeiro. Rząd brazylijski wierzy, że w ten sposób przyczyni się do rozwoju olbrzymich, prawie niezamieszkałych jeszcze terenów, między ujściem Amazonki i Sao Paolo. Warto zaznaczyć, że w ciągu ostatnich dziesięcioleci powstały już dwa nowe miasta w Brazylii: Bello Horisonte i Goiana.

Nowa stolica miałaby się nazywać Brasilia, a plan miasta byłby wzorowany na najmłodszej stolicy świata, Canberze w Australii.

Skarb Mussoliniego

W dniu 27 kwietnia 1945 r. partyzanci włoscy zatrzymali Mussoliniego i jego kochankę Clarę Petacci, nad jeziorem Como. Uciekający Duce miał ze sobą pokaźną sumę 30 milionów lirów i dwie kasetki z kosztownościami, wagi 36 kilogramów. Ustalono ponad wszelką wątpliwość, że wartość klejnotów, znajdujących się w bagażu Mussoliniego wynosiła 50 milionów lirów przedwojennych. Partyzanci powierzyli skarb celem dostarczenia do Como, jednemu z oficerów, znanego pod pseudonimem Commandante Pedro.

Skarb nie dojechał do Como. Commandante twierdził w kilka dni później, że doręczył klejnoty sztabowi innej jednostki partyzanckiej. Od tej chwili zaginął wszelki słuch po wszystkich uczestnikach aresztowania i egzekucji Mussoliniego. Policja włoska chciała ustalić okoliczności, towarzyszące temu historycznemu wydarzeniu, ale wysiłki jej pozostały bezowocne.

O klejnotach wiadomo tylko, że kilka miesięcy po egzekucji Mussoliniego znajdowały się w skrytce pod głównym ołtarzem jednego z kościołów nad jeziorem Como.

Włosi nie dają wiary wersji, jakoby klejnoty podążyły za Mussolinim na tamten świat, ale nie wierzą również w możliwość odnalezienia ich przez policję.

tak i nie

Strajk, którego nie było

POD rządami gen. Mc Arthura, sytuacja w Japonii rozwija się w sposób niezwykły. Naród japoński jest wyraźnie niezadowolony z konserwatywnego rządu, jakim został obdarzony przez premiera Joszida. Szczególnie niezadowolone były i są masy robotnicze, które odsunięto całkowicie od wpływu na bieg polityki wewnętrznej. Sytuacja materialna japońskich mas robotniczych nigdy nie była świetna, a w wyniku wojny stała się nie do zniesienia. Związki zawodowe postanowiły przeto ogłosić strajk generalny celem poparcia swoich żądań ekonomicznych i politycznych. Gen. Mc Arthur wydał jednak zakaz strajkowania, ponieważ „strajk generalny jest zbyt niebezpiecznym orężem w obecnej skomplikowanej sytuacji Japonii". Oczywiście, na skutek takiej decyzji uzasadnione żądania robotników nie zostały uwzględnione, a konserwatywny i antyrobotniczy rząd japoński sprawuje władzę nadal — korzystając z potężnej opieki gen. Mc Arthura.

Robotnicy nie zrezygnowali z walki i odwołali się do Sojuszniczej Rady Kontroli.

Upaństwowienie pogrzebów?

PROJEKT taki zrodził się w spokojnej i liberalistycznej Anglii. Poseł do Izby Gmin Allighan, zgłosił w tej materii sensacyjną propozycję, domagającą się przejęcia przez czynnik społeczny zarówno cmentarzy, jak i organizacji pogrzebów. Anglicy uważają, że przedsiębiorstwa pogrzebowe stały się domeną wielkiego kapitału, ciągnącego olbrzymie zyski, nie pozostające w żadnej proporcji do wartości oddawanych usług! Również dowolność opłat, pobieranych przez duchowieństwo, wywołała wiele skarg w Wielkiej Brytanii.

Nie jest wcale wykluczone, że w myśl zasady „Żałoba człowieka nie powinna być źródłem zysków", Anglicy doczekają się upaństwowienia pogrzebów wcześniej, niż nacjonalizacji np. przemysłu samochodowego.

Od morza do śniegu

NA Sycylii planuje się budowę autostrady, która będzie najwyżej położoną w Europie. Nosić będzie ona nazwę „Strada — Mare — Neve") (Autostrada od morza do śniegu) i przebiegać ma wielkim półkolem z Taorminy na wschodnim wybrzeżu sycylijskim, około 300 m, od krateru Etny z powrotem do morza koło Katanii.

W najwyższym punkcie Strada — Mare — Neve przechodzić będzie na wysokości 3,250 m. Najwyżej położoną autostradą dotychczas jest autostrada na przełęczy Stelvio, na granicy szwajcarsko-włoskiej. Koszt budowy tej 50-kilometrowej drogi wyniesie około 800 dolarów za metr. Ale wykąpawszy się rano w morzu, będzie można pojechać przez wspaniałe lasy piniowe, przejechać się na nartach w południe i znowu być po południu nad morzem.

To jest Ameryka

DO baru w Martinez (Kalifornia) przyszedł jakiś klient. Wypiwszy kilka kieliszków, nagle zaproponował właścicielowi odkupienie jego zakładu. Uzgodniono cenę i jak to jest w zwyczaju w Ameryce, nowonabywca wręczył właścicielowi czek na 29.700 dolarów. Występując jako właściciel, nie brał od klientów pieniędzy, ofiarowując im trunki i jedzenie darmo. Ruch w interesie był, oczywiście, olbrzymi i kosztował właściciela ok. 1.000 dol. dziennie. Niestety, po czterech dniach okazało się, że czek nie miał pokrycia i „wspaniałomyślny" gospodarz powędrował za kratki, gdzie sam będzie dostawał darmowe utrzymanie.

Samorząd dla Kongo

MALEŃKA Belgia została wstrząśnięta projektem udzielenia autonomii dla Konga, tej kolonii, która jest podstawą bogactwa tego państwa. Nawet zawarcie umowy o przywróceniu wymiany handlowej z Niemcami w rozmiarach przedwojennych nie podziałało na umysły tak podniecająco. jak ta pozornie niezbyt ważna sprawa.

Projekt autonomii, wysunięty zresztą z kół pozarządowych, miał na celu uwolnienie spod opieki kraju macierzystego około 25.000 osiadłych w Kongo plantatorów i innego rodzaju „kolonialów". Nie chodziło bynajmniej o owe kilka milionów tubylców, których zarobek dzienny wynosi 3 franki belgijskie, co równa się 0,07 dolara.

Wyzysk kolonialny nie stoi na przeszkodzie żądaniu praw samostanowienia i demokracji, dla plantatorów i ich wspólników.

Arystokratyczni wspólnicy hitlerowców

NIEMIECKA arystokracja która była podporą tronu Wilhelma II, nie stroniła bynajmniej od Hitlera, jakby chciała obecnie wmówić w wielu naiwnych na Zachodzie. Oto kilka nazwisk:

1) Joziasz, książę dziedziczny Waldeck i Pyrmont, generał SS. W r. 1919 był oficerem słynnego wolnego korpusu, który walczył przeciwko Polsce. W 1929 roku wstąpił do SS i w czasie okupacji Francji był szefem tamtejszej ekspozytury Gestapo.

2) Karol - Edward, książę sasko-koburski. Jako prezydent niemieckiego Czerwonego Krzyża podpisał raport, że w obozie Buchenwald nikt nie jest maltretowany.

3) August Wilhelm, książę pruski, syn cesarza Wilhelma II, był generałem SA i występował na wielu uroczystościach hitlerowskich, podkreślając całkowitą jednomyślność z brunatnymi katami.

4) Książę Mikołaj Fryderyk Wilhelm Oldenburski, który natychmiast po napaści na Polskę kazał sobie przydzielić majątek 5000 hektarowy w Poznańskiem.

5) Książę Hohenlohe, wyższy oficer SD.

...i wielu wielu innych. Naturalnie żaden z nich nie był sądzony w odhitleryzowanych i zdemilitaryzowanych Niemczech.

PRZED MECZEM SEJM — IZBA GMIN



Wielkie zainteresowanie w kołach sportowych wywołała zapowiedź odbycia meczu piłki nożnej między reprezentacją Sejmu polskiego i brytyjskiej Izby Gmin. Mecz ten odbędzie się w dniu 1 kwietnia b. r. na boisku „Legii" w Warszawie.

Na zdjęciu naszym drużyna Polski, której skład ustalono na specjalnym posiedzeniu Konwentu Seniorów. Od lewej bramkarz pos. Marek Arczyński, który porzuciwszy zawód sędziego sportowego przeszedł do czynnej działalności w sporcie (niestety w czasie zdjęcia poruszył się). Dalej pos. pos: Hochfeld, Szwalbe, Mikołajczyk, gen. Spychalski, Drobner, Bieńkowski, Kliszko, Obrączka i Kiernik. Ostatni z prawej kapitan polskiej 11-ki — marszałek Kowalski.

DWORZANIE

Wg. pamiętników hr. Galeazzo Ciano i książki Curzio Malaparte „Kaputt".

I RODZINA WŁOSKIEGO DYKTATORA







Mussolini w okresie swej świetności (zdjęcie górne) i Donna Rachela przy zajęciach gospodarskich w swym obecnym mieszkaniu na jednej z wysp w Zatoce Neapolitańskiej

W przystępie dobrego humoru i nieoczekiwanej szczerości pewien minister państwa faszystowskiego nazwał Włochy Mussoliniego, w odróżnieniu od bardziej nowoczesnej dyktatury, typową śródziemnomorską tyranią. Trudno odmówić temu określeniu pewnych cech prawdziwości, jeżeli przeczyta się wspomnienia hr. Ciano i uwagi Curzio Malaparte, autora znanej u nas książki „Kaputt" o przeżyciach i zachowaniu się małego grona ludzi, którzy w czasie wojny kierowali losami Włoch.

Weronika v. Clemm, żona jednego z wyższych urzędników ambasady niemieckiej w Rzymie, wyraziła się na ten temat dosyć pogardliwie:

„Polityka włoska jest dziełem czterech czy pięciu przystojnych mężczyzn, którzy są niezmiernie zajęci odbijaniem sobie ciągle tych samych trzydziestu najgłupszych Rzymianek." Nie wymieniła coprawda Mussoliniego, który mógł w każdej chwili tych „polityków" zmienić. Duce zresztą nie konkurował z nimi o względy arystokratycznych Włoszek, był bowiem całkowicie zaabsorbowany Klarą Petacci. Pewnego dnia, mówiąc ze swym zięciem o Bismarcku „Duce rozwodził się długo nad faktem, że kanclerz, choć był jednostką wielką i potężną, prowadził życie dość romantyczne i pisał listy godne sztubaka. Nie trudno było dostrzec w opowiadaniu Duce — dodaje Ciano — bardzo osobistych motywów zainteresowania, jakie okazywał dla tej strony życia „żelaznego kanclerza".

Ciano wypowiada wojnę

Zacznijmy jednak od wypowiedzenia wojny, które zapoczątkowało czteroletnią erę upadku faszyzmu włoskiego. Koniec tyranii był tak bliski i tak dla wielu oczywisty, że Edda Ciano, najukochańsza córka Mussoliniego mogła sobie pozwolić na powiedzenie publiczne w obecności żony następcy tronu włoskiego, że „dynastia Mussolinich podobna jest do dynastii Sabaudzkiej. Obie nie utrzymają się długo".

Latem 1940 roku, gdy armia niemiecka wdarła się już głęboko na terytorium Francji, Włochy zdecydowały, że nadszedł odpowiedni moment. Ciano wezwał do siebie ambasadorów Francji i Wielkiej Brytanii, aby im zakomunikować decyzję o wypowiedzeniu wojny.

„Gdy ambasador francuski Francois-Poncet przybył do pałacu Chigi, hr. Ciano przyjął go w swoim gabinecie, przywitał się serdecznie i przystąpił z miejsca do rzeczy:

— Panie Ambasadorze, domyśla się Pan zapewne, dlaczego pragnąłem widzieć Pana?

— Zazwyczaj nie jestem szczególnie domyślny — odparł François-Poncet — ale tym razem wiem, o co chodzi.

Wówczas Ciano wyprostował się za biurkiem i odczytał oficjalną formułkę wypowiedzenia wojny. — W imieniu J.K.M. króla włoskiego, cesarza Abisynii itd., itd.

François-Poncet, nieco zmieszany rzekł na to:

— A więc wojna?

— Tak

Ciano nosił mundur podpułkownika lotnictwa. Ambasador Francji powiedział:

— Co pan zamierza uczynić osobiście? Będzie pan rzucał bomby na Paryż?

— Sądzę, że tak. Jestem oficerem i spełnię swoją powinność.

— Ach, niech pan przynajmniej uważa, aby pan nie został zabity. — zakończył rozmowę François-Poncet — to się nigdy nie opłaca."

Ambasador angielski zachował się w sposób odmienny:

„Sir Percy Lorraine wszedł od razu i zapytał z miejsca poco go zaproszono. Ciano odczytał mu oficjalną formułkę wypowiedzenia wojny: — W imieniu J.K.M. króla włoskiego, cesarza Abisynii itd., itd.

Sir Percy Lorraine słuchał uważnie, jakby się bał uronić jakieś słowo i zapytał chłodno:

— Czy to na pewno dokładny tekst formułki wypowiedzenia wojny

Ciano z trudem ukrył swoje zdziwienie:

— Tak jest, to dokładny tekst — odparł.

— Oh! — zawołał Sir Percy Lorraine — po czym dodał: May I have a pencil?

— Yes, certainly. Ciano podał mu ołówek i blankiet włoskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Ambasador angielski starannie odciął nagłówek, sprawdził, czy ołówek jest dobrze zatemperowany i poprosił hrabiego Ciano.

— Czy zechciałby pan podyktować mi to, co pan mi przed chwilą odczytał?

— Z przyjemnością — odpowiedział niezmiernie zdumiony Ciano. Powoli, słowo zas łowem, odczytał powtórnie tekst wypowiedzenia wojny. Sir Percy Lorrain w czasie tego dyktanda z niezmiennym spokojem pochylał się nad swoim arkuszem papieru. Gdy skończył, podał rękę Ciano i skierował się do drzwi... Na progu zatrzymał się chwilę i odwróciwszy się w stronę biurka powiedział:

— Pan jest przekonany, że wojna będzie krótka i łatwa. Myli się pan: wojna będzie bardzo długa i bardzo ciężka. Dowidzenia."

„Owoc syfilisu"

Tak się zaczęło. Mniej więcej rok potem, minister oświaty Bottai w rozmowie z Ciano poruszał sytuację na froncie. W pewnej chwili Bottai wspominając swego przyjaciela marszałka Balbo dał się porwać do wypowiedzenia sądu o Mussolinim, „który w tym środowisku był niesłychany: — Pamiętam jak Balbo określał Mussoliniego jako „owoc syfilisu". Zastanawiam się obecnie, czy nie miał racji, lub przynajmniej czy nie był bliski prawdy. Duce podupada na ciele i umyśle. Jego urok nie działa już zupełnie na mnie. To człowiek kapryśny, pozbawiony woli, który pragnie pochwał i pochlebstw i chce, by go oszukiwano."

Otoczenie nie szczędziło mu tych narkotyków Aby złagodzić jego gniew z powodu zatopienia konwoju włoskiego na Morzu Śródziemnym, spreparowano komunikat o sukcesach na Atlantyku. „Na podstawie zupełnie niepewnych informacji podano, że łódź podwodna „Malaspina" zatopiła dwa transportowce o pojemności 10.000 ton. Jedyna rzecz, której jesteśmy pewni — ddoaje Ciano — to fakt, że ta łódź podwodna została zatopiona, gdyż nie powróciła do bazy mimo upływu 10 dni. Zastępca szefa sztabu marynarki, admirał Sansonetti przy pomocy ołówka przekształcił te 10.000 ton na 30.000 ton, aby „wywołać lepsze wrażenie". Zresztą cała marynarka mówi ustawicznie o tym, że admirał Ricardi zawdzięcza swoje stanowisko protekcji Mme Petacci. Ta pogłoska na pewno nie wpłynie na podniesienie jego prestiżu."

Dwie kliki

Klara Petacci, jej siostra, brat i matka stanowiły jedną z klik, jakie utworzyły się wokół Mussoliniego. Posłuchajmy, co o tym mówi Bottai według relacji Ciano:

„Sytuacja wewnętrzna Włoch nastraja go pesymistycznie. Najcharakterystyczniejszym objawem jest — jego zdaniem powstanie dwóch grup, które określa jako nielegalne. Mają one głęboki i niebezpieczny wpływ na Duce. Z jednej strony jest Donna Rachela i Pater (żona Mussoliniego i inżynier wątpliwej sławy) o których mówi się ostatnio bardzo wiele; z drugiej strony stoją członkowie rodziny Petacci i ich satelici Jak wszyscy outsiderzy ludzie ci zwalczają osoby, które legalnie i na podstawie konstytucji dzierżą część władzy. W ten sposób Bottai tłumaczy sobie chłodny i prawie wrogi stosunek Mussolinego w stosunku do przywódców faszystowskich".

Ostatnie zdanie zawiera w sobie najbardziej typowe spaczenie myślowe u ludzi, którzy nie reprezentowali sobą żadnej wartości ani społecznej, ani politycznej. Byli to po prostu dworzanie tyrana, zależni wyłącznie od jego dobrego humoru. Malaparte wkłada w usta Ciano powiedzenie: Mussolini wymyślił karę gorszą od tortur chińskich — kopniaka" Malaparte dodaje: „Galeazzo (Ciano) drżał od rana do nocy przed tym kopniakiem. W obecności Mussoliniego, Galeazzo zachowuje się tak jak wszyscy: jak przerażony lokaj. Podobnie jak inni, daje on dowody lwiej odwagi, potakując bez przerwy. Ale za plecami Mussoliniego nie zna strachu. Gdyby Mussolini miał usta na plecach, Galeazzo nie wahałby się i włożyłby nawet głowę do rozwartej paszczy, jak czynią poskramiacze dzikich zwierząt w cyrku."

Kopniak

Ale Ciano był zięciem Mussoliniego, jego wiernym sługą. Najskrytszym jego pragnieniem, o którym wiedział jednak zarówno Mussolini jak większość ludzi interesujących się polityką włoską, było zostanie następcą Duce. Rodziło to naturalną nieufność ze strony Mussoliniego. Malaparte opowiada, że Ciano w chwili szczerości zwierzył mu się, że „gdyby Edda pewnego dnia opuściła mnie, byłbym stracony. Ojciec uwielbia ją i nie zrobi nigdy nic takiego, coby jej sprawiło przykrość; ale czeka tylko na odpowiedni moment, (aby mi dać kopniaka)."

Moment ten miał przyjść wcześniej niż się Ciano spodziewał. Tymczasem jednak był jeszcze w łaskach tyrana. Jego pamiętnik jest świadectwem zwierzeń znoszonych mu przez całą rodzinę.

„Była u mnie dziś po południu Donna Rachela. Zaniepokoiła się ostatnimi wydarzeniami. Skarży się, że nawet ptaki omijają drzewa ogrodu willi Torlonia (siedziby żony Mussoliniego). Wiatr, który teraz wieje, skłonił je do zmiany otoczenia; siadają teraz na drzewach willi Savola (siedziba królewska)."

„Odwiedził mnie Augusto Moschi, siostrzeniec Donny Racheli, który przez dłuższy okres czasu dzierżył klucze do serca swej wpływowej ciotki. Obecnie stracił swoje przywileje. Jego miejsce zajął inżynier Pater, ten szarlatan, który buduje domy z trocin i tektury. Moschi gwałtownie napadał na Patera oskarżając go o zakłócenie spokoju willi Torlonia swymi intrygami i krętactwami. To miniaturowy Rasputin, korzystający ze swego wpływu dla uzyskania korzyści osobistych. Może Moschi przesadza, ale pewna doza prawdy jest w tym, co mówi. Edda zwróciła mi przed kilku miesiącami uwagę na dziwną rolę, jaką Pater odgrywa u boku jej matki, dodając, że to są skutki starzenia się. Rzeczywiście od kilku miesięcy Donna Rachela jest nerwowa, nieufna i zajmuje się w roli detektywa tysiącem spraw, które ją nic nie obchodzą. Zdaje się, że robi nawet inspekcje w przebraniu mularza, wieśniaczki i Bóg wie jakim innym! To wszystko musi się skończyć skandalem, do którego nie chce być wmieszany".

Nawet siostra Mussoliniego wtrąca się do polityki:

„Donna Edvige Mussolini złożyła mi dłuższą wizytę. Ocenia sytuację polityczną z wielką dozą zdrowego rozsądku i niepokoi się o przyszłość. Uczyniła się rzecznikiem niektórych kół i chciałaby, abym objął również ministerstwo spraw wewnętrznych."

Interwencje rodziny Mussoliniego nie były zawsze takie dyskretne:

„W czasie mojej nieobecności, Anfuso (dyrektor gabinetu Ciano) był przedmiotem telefonicznego ataku ze strony Donny Racheli z powodu kilku omyłek popełnionych przez IRCE (Włoski Instytut Stosunków Kulturalnych), który zresztą nie podlega memu ministerstwu. Używała wyrażeń mało poprawnych i oświadczyła, że przyjdzie strzelać do pałacu Chigi (siedziba włoskiego MSZ)".

Zobaczymy jednak, co Ciano zapisał na temat rodziny Petacci.

„Ricardi (admirał) skorzystał z nominacji radcy handlowego w Hiszpanii, aby gwałtownie zaatakować doktora Petacci — brata wspaniałej siostry — który według Ricardi robi ciemne interesy. Dla podtrzymania swojego twierdzenia Ricardi cytuje powiedzenie inspektora policji Leto: dr. Petacci przynosi Duce więcej szkody, niż piętnaście przegranych bitew."

„Buffarini (minister) wypłaca miesięcznie ponad 100.000 lirów tej Petacci, rzekomo na cele dobroczynne. Za pośrednictwem niejakiego Donadio używa swego wpływu na Petacci. Jednym słowem, twierdzi Serena (sekretarz partii), że wokół Duce powstała grupa Petaccistów, którą Buffarini kieruje z ukrycia".

„Osio, założyciel Banca del Lavoro dostał kopniaka i wyleciał. Powody jego zwolnienia są jasne, ale wydaje się, że Osio odezwał się w sposób nie bardzo prawomyślny, niektórzy zaś twierdzą, że posprzeczał się z bratem Petacci o pewne interesy. Osio rzeczywiście mówił o nim dosyć swobodnie nazywając go „Lorenzio dei Medici".

„Bottai chwalił się, że akredytował osobistego ambasadora przy rodzinie Petacci, nie ujawnił jednak nazwiska."

„Ricardi pokazał mi interesujący dokument: raport podoficera karabinierów skierowany do jego przełożonych, że „pan ten a ten jest oszustem, ale ponieważ jest kochankiem niejakiej Petacci, siostry przyjaciółki Duce, więc nie można go ruszyć."

„Petacci przyłączyła się do kobiet rodziny Mussoliniego i w miejscowości kąpielowej Rimini rozsądza sprawy, rozkazuje, intryguje. Jej prawą ręką jest niejaki Spisani, nauczyciel tańca w trzeciorzędnych zakładach. Opowiadano zabawne historie. Zdaje się, że była niedawno w Budapeszcie... Gdy ktoś zapytał ją o wrażenia z podróży, powiedziała: Nie urządzano dla mnie żadnego przyjęcia ani uroczystości. Przestrzegałam najściślejszego incognito".

„Ten zuchwały doktór Petacci przysłał mi list, w którym proponuje mi najbezczelniej swego wspólnika Vezzari na stanowisko ambasadora w Madrycie. Vezzari to zero, ignorant, złodziej i brudas."

Nic jednak nie charakteryzuje lepiej stosunków włoskich, niż ta notatka w pamiętnikach hr. Ciano.

„Duce był zrozpaczony, że w miesięczniku „Minerwa", wychodzącym w Turynie zamieszczono złotą myśl pewnego filozofa greckiego: Nie masz większego nieszczęścia dla państwa nad rządy starego tyrana."

IGNACY WITZ

„CAPRICHOS"

Dwóch było w historii sztuki wspaniałych malarzy, zajmujących się akwafortą, którzy osiągnęli w tej dziedzinie najwyższe szczyty artyzmu. Półtora stulecia legło pomiędzy nimi, jak i też to, że obaj żyli i działali na dwóch krańcach Europy. Wspólną ich cechą było, że jako artyści znacznie wyprzedzali swą epokę, że życie ich i biografia jest pełna tragicznego patosu, szarpań i zmagań wewnętrznych, to, że obaj byli wielkimi i prawdziwymi ludźmi w sztuce i to, że w życiu swą artystyczno - odkrywczą działalnością dokonali swoistej rewolucji w pojęciach artystycznych swych epok oraz i to, że w dziełach ich żywy pozostał na wieki duch narodu, z którego pochodzili.

Byli to Rembrandt i Goya.

To rozmyślne zestawienie tych dwóch nazwisk, tych dwóch tragicznych i samotnych postaci, tak pięknych i tak wzniosłych, tak różnych uczuciowością, charakterami, a tak bliskich wielkością swej sztuki samotnością i losem, który gotuje im gorzką starość jeszcze w bardziej wyrazisty sposób, może nam zbliżyć te dwie genialne indywidualności.

U obu, — zarówno u Rembrandta, jak i u Goyi — twórczość graficzna nie leżała na marginesie ich zasadniczego rzemiosła, jakim było malarstwo, była natomiast włączona w łożysko ich sztuki, w hart ich działalności, była integralną częścią ich całej twórczości.

Z dzieł graficznych, jakie pozostawił po sobie Goya, z owych cyklów akwafort „Los Caprichos", „La Tauromaquia", „Los Proverbios", „Los Desastres de la Guerra" oraz szeregu luźnych prac litograficznych, można wyczytać i odcyfrować całą wspaniałą i ludzką jednostkę, jaką był ich twórca.

Z cyklu „Kaprysy"





A zwłaszcza „Caprichos" — to pierwsze wielkie jego dzieło graficzne. Jakkolwiek od dwudziestu pra wie lat już zajmował się tym dziełem sztuki, jako indywidualność zabłysnął dopiero w latach dziewięćdziesiątych osiemnastego wieku. Tych 80 plansz, związanych w książkę, to 80 doskonałych i wstrząsających arcydzieł grafiki, jedynych w swoim rodzaju.

Goya zawsze miał predyspozycje do satyry. Ponury, chłonny wrażeń, zawzięty i żarliwy, przyduszony brzemieniem kalectwa — głuchoty, dojrzały artysta chwyta rylec, by rozpętać burzę uczuć. „Caprichos" roi się od fantastycznych postaci, od bezzębnych ,potwornych staruch, od małp, od osłów we frakach. Latają tam nietoperze i skaczą homonculusy, dziwni ludzie, a zwłaszcza straszliwe satanistyczne kobiety mocują się i szarpią w błędnym tańcu życia. Jest to bajeczny świat, świat skrzywionych bajek, Lafontaine, pachnący siarką.

Czterdziestoletni Goya, nadworny malarz Carlosa IV, syn narodu, miłujący wolność, przeniknięty ideami rewolucji francuskiej i encyklopedystów, znający pisma Voltera i Jean Jaques Rousseau, podatny rewolucyjnej agitacji, żyjący w mrocznej i strasznej atmosferze Escurialu, wiecznie straszony panoszącą się Świętą Inkwizycją i działalnością królewskiego zausznika Godoya, odważa się na stworzenie satyry, w której wyśmieje, wykpi i obnaży hiszpański dworski fin-de-siecle osiemnastego wieku. Tematem tej satyry będzie zarówno kościół, jak i dwór, będzie obyczajowość i moralność, widziana oczyma świadomego człowieka, człowieka świadomego tych olbrzymich przemian społecznych, jakie odbywały się wówczas poza granicami państwa Carlosa IV Bourbona, za grzbietem Pirenejów, we Francji.

Goya stworzy „Caprichos". Rozumiejąc w pełni, jaką może ponieść odpowiedzialność, jak może odpłacić mu za to wszechmocna Inkwizycja, zmienia początkowy tytuł „Idioma universal"—język ogólny"— na „Caprichos", a całe dzieło dedykuje królowi, wprowadzając tym samym w błąd tego ostatniego i Inkwizycję. Co prawda nie na długo. Inkwizycja wietrzy w tym coś niedobrego, w rezultacie zmuszony zostaje w celu uniknięcia represji, do napisania komentarza dla każdej ryciny.

Tytułowa karta „Caprichos" jest autoportretem artysty. Przypatrzmy się jemu. Przypatrzmy się obliczu człowieka, który odważył się po raz pierwszy tak jasno, prosto i gorąco wyśmiać i znęcać się nad możnymi tego świata, znęcać się z taką przenikliwością, mądrością, gwałtownością i szatańskim uśmiechem.

Jeżeli stworzone zostało pojęcie „bicz satyry" — to do niczego chyba lepiej nie pasuje ono, jak do twórczości wielkiego Hiszpana. Jego satyra jest realna, zrozumiała i widoczna. Chimery, rysowane przez niego, diabły, upiory i nietoperze z sennych wizji i koszmarów, nic nie mają zgoła w sobie ze średniowiecznej scholastyki, są widzeniami żywego człowieka. Upiory średniowiecza były wizerunkami tajemniczych, czyhających na człowieka na jego wiarę, złych duchów, były strachem śmierci, ewangelicznym czyśćcem i piekłem. Koszmary Goyi, to rzeczy realne, to strach człowieka przed bliźnim, to strach przed możnym i silnym, lecz strach przezwyciężony, strach, który już przestał nim być, czyli pierwsza zapowiedź odwetu.

Patrząc na „Caprichos", doznajemy, jeżeli chodzi o Inkwizycję, instytucję w pewnym sensie wzorową, pewnego rodzaju wątpliwości. Gdyż w „Caprichos" pokazana jest i ona, pokazana prawdziwie i zjadliwie. „Nie ma pomocy" tak nazwie Goya jedną z plansz cyklu.

Rzeczywistość, rzeczywistość była żywiołem, którym oddychał Goya. Cała fanstastyka, cała dziwność „Caprichos,' jest potężnym, formalnym i ideologicznym podkreśleniem realnego, rzeczywistego, jest wzbogaceniem realnego i doprowadzeniem go do stanu wrzenia. Jest gorączką podniecenia i wykazem psychicznych upadków.

Człowiek, oto człowiek, twórca „Caprichos" Don Francisco Jose Goya y Lucientes.

Z czym walczy?

Z ciemnotą, przekupstwem, dworem królewskim, z zausznikami króla, z zepsutą moralnością.

Wielki człowiek prawdziwy, wielki prawdziwy artysta. Plastyczna forma jego dzieła, wyraz formalny i doskonałe opanowanie graficznego „metier", a zwłaszcza nowinki graficznej, jaką była akwatinta, którą zaczął stosować z upodobaniem właśnie w „Caprichos". Całą swą wiedzę malarską, całe swe bogate doświadczenie kompozycyjne i kolorystyczne wykorzystuje on podczas pracy nad grafiką. Chłonny i wrażliwy kontynuator swych wielkich poprzedników, a zwłaszcza Velasqueza, wzbogaca niesłychanie sztukę Hiszpanii, jak i całego świata.



Autoportret Goyi.

Z dzieł, które pozostawił po sobie, z tradycji, jaką stworzył, powstanie potem plejada innych wspaniałych artystów.

*

Z okazji dwóchsetnej rocznicy urodzin Goyi Muzeum Narodowe urządziło wystawę „Caprichos". Jest to pełna teka, odbita z oryginalnych płyt i według wszelkich praw dopodobieństwa jeszcze za życia artysty. Teka ta została przywieziona do Polski przez znanego uczonego, podróżnika i zbieracza Józefa Zielińskiego — autora „Kirgiza". Po śmierci Zielińskiego zbiory jego ofiarowane zostały Towarzystwu Naukowemu w Płocku.

Zbiory Płockie przetrwały okupację i uniknęły grabieży. Obecnie „Caprichos" dla urządzenia wystawy przewieziono do Warszawy.

W 21 ROCZNICĘ ZGONU
pioniera spółdzielczości spożywców

W dn. 30 marca br. mija 21 lat od chwili, jak w Warszawie zmarł niespodziewanie w 55-ym roku życia Romuald Mielczarski — jeden z najbardziej aktywnych organizatorów spółdzielczości w Polsce wraz ze Stanisławem Wojciechowskim, późniejszym Prezydentem Rzeczypospolitej — twórca i kierownik Związku „Społem".

Od powrotu do kraju w r. 1906 Mielczarski ogniskuje dokoła siebie szereg teoretyków i działaczy aktywnych na polu spółdzielczości w Towarzystwie Kooperatystów. Biorą w nim udział m. in. Edward Abramowski, Władysław Grabski, Zygmunt Chmielewski, Stanisław Wojciechowski i Antoni Donimirski, który przewodniczy na pierwszym zjeździe spółdzielczym w Warszawie.

W końcu września 1911 r. Związek „Społem" powstaje jako Hurtownia Spółdzielcza w Warszawie przy ul. Smolnej 14. Mielczarski staje na czele jako prezes zarządu i dyrektor naczelny i przez kilkanaście lat do chwili zgonu pozostaje u steru swej umiłowanej placówki.

Po odzyskaniu niepodległości przeprowadza szereg transakcji z zagranicą, uzyskuje dla Polski wielkie dostawy. Nie przyjmuje ofiarowanej mu teki ministerialnej. Ostatnim dziełem jego życia jest scalenie całej polskiej spółdzielczości spożywców w jeden związek. Niezastąpiony do tej pory jest jego podręcznik „Rachunkowość Stowarzyszenia Spożywców", który doczekał się kilkunastu wydań. Wiele cennych wskazań zawierają prace Romualda Mielczarskiego, zawarte w dwóch tomach „Pism". Rzucają one wiele światła na szereg zagadnień z dziedziny spółdzielczości. Pisał on m. in.: „Spółdzielczość to samorząd gospodarczy, przygotowujący ludzi do samorządu politycznego. Wychowamy nowy typ człowieka, prawdziwego Europejczyka, kochającego twórczość, wiedzę i wspólne dobro,

Jeden z najbliższych towarzyszy prac Mielczarskiego nad rozbudową spółdzielczości w Polsce, po Mielczarskim i Marianie Rapackim, który zginął podczas powstania warszawskiego we wrześniu 1944 r. do chwili objęcia w r. 1945 prezesury „Społem" przez Jana Żerkowskiego, trzeci z kolei prezes Zarządu „Społem", obecny dyrektor Wydziału Rolniczego „Społem" i członek Rady z ramienia Polski Międzynarodowego Związku Spółdzielczego, Józef Jasiński w broszurze swej o Romualdzie Mielczarskim, stanowiącej rozszerzony refefat, wygłoszony na akademii w Łodzi 30 marca 1946 r. tak pisze: „Nadwątlony ciężkimi warunkami życia organizm zaczął niedomagać i niespodziewanie dla nas, obcujących z Nim codziennie — zgasł bezpowrotnie. Jeszcze w ów dzień tragiczny byłem u Niego, załatwiając bieżące sprawy, gdy w pół godziny potem dali mi znać, że dyrektor Mielczarski umiera. Dzień 30 marca 1946 r. był dniem ciężkiej żałoby całego polskiego ruchu spółdzielczego.

Pozostał po Nim program, który Jasiński nazywa programem przebudowy stosunków gospodarczych, programem walki z kapitalizmem. Mielczarski swój program ujawnił 30 lat temu. Pomimo tego oddalenia w czasie i zmiany ogólnych warunków był on stale aktualny i aż do wybuchu drugiej wojny światowej stanowił jedną z głównych wytycznych pracy spółdzielni spożywców w Polsce. Był motorem działania dużego już aparatu „Społem", który obecnie za kadencji prezesa Jana Żerkowskiego rozrósł się do rozmiarów potężnej organizacji, osiągając 65 miliardów zł obrotu za rok 1945 i zajmując w międzynarodowym ruchu spółdzielczym trzecie miejsce po spółdzielczości radzieckiej i brytyjskiej.

Leon Reinschmidt

Film TYGODNIA

KONFERENCJA W MOSKWIE



Przybycie ministra spraw zagranicznych Francji — Bidault



Ministra spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych, Marshalla, witał na lotnisku wiceminister Wyszyński.

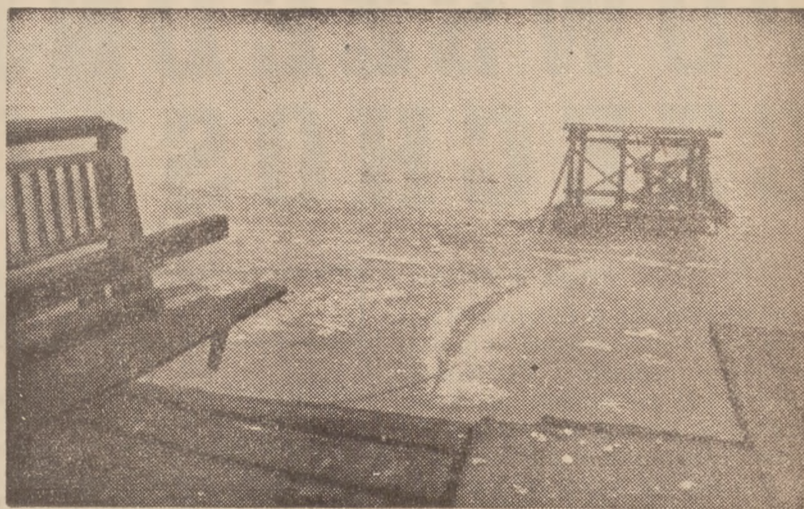


Liczne grono miłych sekretarek ministra Bevina.



Sala posiedzeń

POWÓDŹ



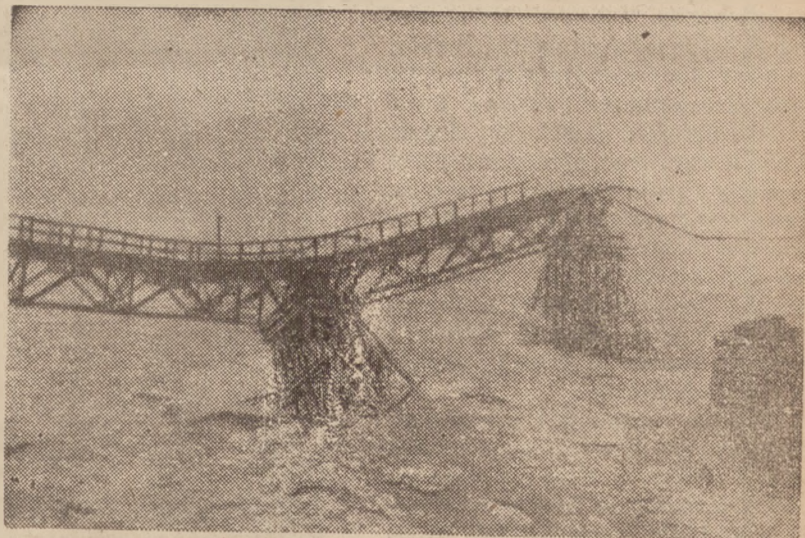
Spiętrzone fale i kra znoszą most wysokowodny w Warszawie.



Szczątki mostu wysokowodnego uderzają w filary mostu kolejowego.



Ostatni pociąg.



Most kolejowy zerwany!

Władysław Pawlak

POWSZEDNI DZIEŃ CZECHOSŁOWACJI

Korespondencja własna „Tygodnia"

Praga, w marcu

Opisać sytuację w Czechosłowacji przez porównanie z nami — to najłatwiejszy sposób. Powiedzmy szczerze, że zestawienie np. Pragi Czeskiej z Warszawą wypadło by bardzo niekorzystnie dla nas, było by jednak jak każde porównanie sztuczne i pełne fałszów. Między sytuacją Czechosłowacji i Polski trudno znaleźć wspólny mianownik, chociaż problemy, jakie stoją przed obu państwami, są zbliżone i mają pewne wspólne cechy.

Republika Czechosłowacka żyje pod znakiem planu dwuletniego. Od chwili gdy Związek Radziecki zapoczątkował gospodarkę planową w skali państwowej słynnymi pięciolatkami, system ujmowania zadań ekonomicznych w okresy rozbudowy przyjął się we wszystkich prawie krajach europejskich. Ale okres dwóch lat stawiany sobie przez Czechosłowację dla realizacji wielkiego zamierzenia, jakim jest przekroczenie przedwojennego stanu produkcji, jest rekordem. Nie ma państwa w zniszczonej Europie, które może żywić nadzieję przezwyciężenia trudności w tak szybkim czasie. Co prawda Czechosłowacja miała niezmiernie korzystny start w stosunkowo niezniszczonym przemyśle i bazach surowcowych. Główne trudności skupiają się na dwóch odcinkach: przystosowanie produkcji do potrzeb pokojowych i wyszkolenia nowych kadr robotniczych.

Dwa lata — to niewiele w porównaniu z zadaniami, jakie postawili sobie kierownicy państwa czechosłowackiego. Dlatego też tempo pracy, jakie zostało narzucone całemu krajowi, jest niezmiernie szybkie i intensywne. Czech i Słowak są dobrymi i starannymi robotnikami, przyzwyczajonymi do metodycznego wysiłku. W ich pracy nie ma jednorazowego, wielkiego zrywu ze wszystkimi zaletami i wadami przysłowiowego słomianego ognia.

Sklepy miast czechosłowackich a w szczególności Pragi pełne są towarów. Wystawy zdumiewają nie tyle ilością, ile niezwykłą w dzisiejszych trudnych czasach różnorodnością produktów. Nie są to bynajmniej towary importowane, lecz prawie wyłącznie wytwory własnego przemysłu. Mało tego, Czechosłowacja wyruszyła na podbój rynków światowych, wykorzystując sprzyjającą koniunkturę. Zdobyć nowe rynki i umocnić dawne w okresie głodu towarowego, to motto eksportu naszego południowego sąsiada. Szwajcarzy słodzą kawę czechosłowackim cukrem, którego nad Wełtawą jest bardzo skąpo. Maszyny i motory wyprodukowane w Pilznie czy Brnie są do nabycia w Belgii i Szwecji, trudno je jednak znaleźć w składach stolicy.

Program rządu jest niezmiernie ambitny, ale jego realizacja wymaga rąk roboczych. Kraj nie może ich dać. Odniemczone Sudety wchłonęły w szybkim czasie przeszło 50.000 rodzin osadniczych i nadal przyciągają wiele jednostek ze wszystkich stron kraju. Rezerwy ludzkie wyczerpują się a przemysł woła wciąż o nowe ręce do pracy. Rząd sięgnął do środków drastycznych przenosząc przymusowo pracowników administracji publicznej do innych dziedzin gospodarstwa narodowego. Proces ten napotyka na wiele trudności, choć państwo gwarantuje osobom przesiedlonym wyrównanie zarobków w okresie trzymiesięcznym, gdyby nowe płace były niższe od dotychczasowych. Przerzucenie części urzędników do zajęć produktywnych ma dla gospodarki państwa podwójne znaczenie, zmniejszając z jednej strony wydatki personalne aparatu administracyjnego, a z drugiej strony podnosząc zdolność wytwórczą przemysłu.



Naczelny dowódca wojsk czechosłowackich, gen. Swoboda i marsz. Żymierski przy tradycyjnej lampce wina.

Ale mimo wszystko własne rezerwy ludzkie nie są w stanie pokryć potrzeb rynku pracy. Rząd Czechosłowacki zdecydował więc, wzorem szeregu innych państw europejskich, na import zagranicznych sił roboczych. Przybyły już, względnie przybędą w najbliższej przyszłości kontyngenty robotnicze z Rumunii i Bułgarii. Największe zainteresowanie budzi jednak zawarcie umowy z rządem włoskim w sprawie przysłania pierwszego kontyngentu około 5000 robotników budowlanych. Podobno toczą się pertraktacje o podniesienie tej liczby do 20.000, jednak Czechosłowacy skarżą się, że rząd włoski stawia wygórowane warunki zarówno w dziedzinie płac, jak i przekazywania części zarobków do Włoch.

Było by jednak lekkomyślnością twierdzić, że z chwilą zdobycia zamierzonych celów eksportowych i rozwiązania problemu ludzkiego wszystkie trudności na drodze do realizacji planu dwuletniego zostały pokonane. W dzisiejszych warunkach trudno rozpatrywać zagadnienia ekonomiczne w oderwaniu od problemów politycznych. Przypomnijmy choćby głośną sprawę cofnięcia Czechosłowacji przyrzeczonej pożyczki Stanów Zjednoczonych w kwocie 50.000.000 dolarów. Eksport Czechosłowacji opiera się w dużym stopniu na zbytkownych towarach konsumcyjnych i wytworach przemysłu o wielkim procencie robocizny. Odbiorcami tych towarów są w pierwszym rzędzie niektóre państwa zachodnie, które nie zawsze kierują się w sprawach handlowych przesłankami natury wyłącznie ekonomicznej. Dlatego też Czechosłowacja kieruje wielką część swojego zainteresowania na wschód w stronę Związku Radzieckiego, Polski i państw naddunajskich.

Polska jest na ustach wszystkich Czechosłowaków. Powodów jest wiele. Przede wszystkim każdy obywatel republiki czechosłowackiej zdaje sobie sprawę z wagi utrwalenia granic Polski, a tym samym Słowiańszczyzny na Odrze i Nysie. Jest to przekonanie tak powszechnie ugruntowane, że nie budzi w nikim ochoty do dyskusji. Istnieje jednak dalszy element w rozumowaniu przeciętnego człowieka czechosłowackiego, przyzwyczajonego do oceniania spraw pod kątem widzenia interesów materialnych: bezpieczeństwo transportów zamorskich w handlu zagranicznym własnego kraju i zapewnienie źródła energetycznego, tj. węgla dla przemysłu.

Czechosłowacja zażądała w Londynie na konferencji zastępców ministrów spraw zagranicznych udzielenia jej wolnych stref w portach Hamburga i Bremy. Jest to posunięcie polityczne. Uwzględnienie tego postulatu niewątpliwie przyniosło by Czechosłowacji wiele korzyści, ale nie zapewni jednego: trwałego bezpieczeństwa transportów. To może dać jedynie porozumienie z Polską w sprawie tranzytu przez nasz port w Szczecinie. To jedna sprawa, z której doniosłości Czesi i Słowacy zdają sobe doskonale sprawę.

Druga to węgiel. Wystarczy kilku rozmów, dość odwiedzić szereg mieszkań prywatnych albo przestudiować dokładnie problemy produkcyjne przemysłu, aby stwierdzić, że zdobycie czarnych diamentów jest nieodzowne dla stuprocentowego wypełnienia dwuletniego planu. Czechosłowacy niechętnie o tym mówią wprost, wolą pośrednio dać do zrozumienia, że zbliżenie gospodarcze naszych krajów jest ich coraz mniej ukrywanym pragnieniem. Oczywiście istnieją jeszcze ciągle koła, które nie mogą zapomnieć dawnych uraz, ale ich znaczenie zmniejsza się z dnia na dzień. Czechosłowacy są narodem trzeźwym nieoddającym się złudzeniom. Ważą swoje możliwości i przystosowują swoją politykę do nich. Dlatego też spisali już dawno ze swego budżetu politycznego wszelkie zwodnicze spekulacje i stawiają na współpracę narodów słowiańskich.

Aby się o tym przekonać, wystarczy wieczorem w dzień powszedni udać się do jednego z wielu kin praskich i przyjrzeć się nowemu filmowi produkcji czeskiej: „Skrzypce i sen". Obraz jest poświęcony dziejom kompozytora Józefa Slawika. Film uwiecznia między innymi moment zetknięcia się Slawika, skrzypka, z Chopinem i przypomina widzom (niezrealizowany niestety) zamiar obu kompozytorów stworzenia wspólnego dzieła. Slawik mówi w pewnym momencie do Chopina: „My przecież jesteśmy Słowianami. Musimy pokazać światu, który nas gnębi i lekceważy, co potrafimy wspólnymi siłami zdziałać".



Scena zbiorowa ze sztuki Aischylosa „Oresteja", reżyserii Dostala w Teatrze Państwowym w Pradze.



w Czechosłowacji

Przekłady Kazimierza Andrzeja Jaworskiego

František Halas

Wiersze

Wyschły z pragnienia gniewu
z wami nędzarze kroczę,
straciłem źródło śpiewu
i więcej go nie zoczę.

Zziębły z głodu tęsknoty,
pragnę już tylko krzyczeć,
długi był czas niemoty,
tych lat się nie doliczę.

Spalony ogniem grozy,
który podpala ciemność,
chcę wierzyć i chcę tworzyć,
jak inni razem ze mną.

Wygnany z kraju marzeń,
dziś krycia szukam w tłumie,
pieśń ma z przekleństwem w parze,
inaczej już nie umiem.

Michal Sedlon

*

Jeszcze śpiewać nie umiem. Gdy wiosna rebelii
w butach burz przyharcuje tu do nas z odsieczą,
ach, wtedy w słowa skąpe, w węzłowate rzeczy
i moje piękno może dopiero się wcieli.

Jeszcze śpiewać nie umiem. Ostatni z nędzarzy,
gdy twe orędzie w słowie się wielkim wypowie,
może wtedy powącham rozkwitłe pąkowie,
co do światła swe płatki znienacka obnaży.

Aż potem pod sztandarem, który bunt w wichurze
roztrzepoce wspaniały, i ja się wynurzę
i do walki bez strachu pójdę uroczyście,

i krew wycisnę z siebie tak, jak grono soki-
z ziemią świętą zbratany, zmor zrzuciwszy troki,
może wtedy dopiero z żył mych śpiew wytryśnie.

Jan Smrek

U nas

Tam, u nas, kędy w cieniu skał i sosen
żyto się blade wraz z owcami wełni,
serce zostawię swoje zasunięte
pod bryłę kwarcu: tutaj straż swą pełnij!

I jeśli wiara jeszcze działa cudy,
a blask miłości nie roztrwoni żaru,
to może stanie się, że roli bruzdy
z całego tak mi drogiego obszaru
do serca mego zbiegną się promieniem
i Nil spod bryły tryśnie dobroczynny,
co je zaleje tak, że nieba sięgnie
na tych zagonach każdy pęd roślinny.

(„Zrno")

Jiri Wolker

Chora ukochana

To nie pokoik szpitalny,
to staw bez wyrazu,
a ja w nim utonęłam,
na jego dnie drewnianym.
Pościelą obciążono mnie jak głazem,
po to snać, bym do okna szyb nie wypłynęła
gdzie niebo się dotyka ich gładzizny szklanej.

Może o mnie przypomni sobie ukochany,
może odwiedzi mnie w tej toni.
Na stołku siądzie z kapeluszem w dłoni,
powie, że pięknie jest na dworze.
A ja nic nie mam, cobym dać mu mogła,
oto dlaczego mnie choroba zmogła,
a ciało moje przezroczyste
jak szklanka próżna.

Ze wszystkiego najbardziej miłości jam głodna.
Dziś serce me się niepokoi,
nikogo spragnionego więcej nie napoi.
Odpuść mi, miły, grzechy moje!

KRÓL HOCHSZTAPLERÓW POLSKICH

Prawdziwe dzieje Stefana Olpińskiego

Otrzymaliśmy nowe materiały, dotyczące kariery osobistości, która słusznie zdobyła sobie tytuł króla hochsztaplerów polskich. Autor rewelacji podkreśla, iż Stefan Olpiński, człowiek niewątpliwie wszechstronnie uzdolniony, był w dużej mierze produktem panujących w okresie przedwojennym stosunków, i dlatego kariera jego zasługuje na uwagę. W tej chwili trudno jeszcze wydać ostateczny wyrok, ile Olpiński był hochsztaplerem, ile szpiegiem, a ile po prostu wykolejeńcem. W każdym razie jego życie jest czymś w rodzaju awanturniczego filmu.

Stefan Olpiński był synem krawca z Tarnopola. Ukończył studia handlowe w Wiedniu i tam zaczął karierę dziennikarską. Momentem decydującym w jego życiu było nawiązanie kontaktu z hr. Donnersmarkiem i księciem na Pszczynie. Książę pszczyński mając rozgałęzione, milionowe stosunki gospodarcze w Polsce bystro zorientował się w talentach Olpińskiego i uczynił go swoim plenipotentem. Umożliwiło to Olpińskiemu bardzo szeroką działalność i nawiązanie stosunków w sferach wysoko postawionych.

W związku z tą działalnością Olpiński zaczynał odgrywać pewną rolę polityczną, ma jakieś bliżej niewyjaśnione sprawy z niektórymi osobistościami ówczesnego reżimu, zdobywa sobie wpływy w prasie prorządowej.

Kariera Olpińskiego załamuje się nie od afery drożdżowej. Z nieznanych przyczyn książę von Pless pozbywa się swego plenipotenta. Olpiński, wyrzucony z siodła, znajduje sobie nowe „stanowisko", a mianowicie posadę sekretarza słynnego znachora Wojnowskiego. Było to stanowisko wcale nie bagatelne. Znachorski proceder Wojnowskiego był interesem milionowym.

Jednakże stanowisko sekretarza i „szefa propagandy" wziętego znachora nie zaspokaja ambicji Olpińskiego. Szuka on nowych możliwości — w polityce. Pierwszym i jak się okazało nieszczęśliwym krokiem było wplątanie się w tzw. „aferę drożdżową". Olpiński rozpoczyna kampanię przeciwko ówczesnemu wiceministrowi skarbu, później prezydentowi Warszawy Stefanowi Starzyńskiemu. Rezultatem jest głośny proces i skazanie Olpińskiego na 5 miesięcy więzienia za oszczerstwo. Nie czekając na osadzenie w więzieniu, Olpiński ucieka za granicę. Tu rozpoczyna się bardziej jeszcze tajemniczy i ciemny okres jego kariery.

Autor rewelacji, znając dobrze Olpińskiego, przypuszcza, iż prawdopodobnie nie stał się on świadomym szpiegiem i zdrajcą swego narodu, że w swoim mniemaniu zwalczał tylko ówczesny reżim w Polsce, który początkowo dostarczył mu tak szerokich możliwości, a potem potraktował tak nieprzychylnie. Bezsporny jest jego kontakt z hitlerowcami, prawdopodobnie początkowo na tle bałamutnej propagandy ugody polsko - niemieckiej. Być może, iż w tym okresie Olpiński uważał siebie nawet za „męża opatrznościowego". Jego agentem w Warszawie był wówczas inny, także znany hochsztapler, rzekomy b. szofer marszałka Piłsudskiego Leon Miguła, zastrzelony podczas okupacji jako agent Gestapo. Miguła usiłował przemycić do prasy fotografię Olpińskiego podczas jego „poufnych" rozmów z Goebbelsem, oraz „biura" Olpińskiego, gdzie nad jego biurkiem wisiał orzeł biały obok swastyki hitlerowskiej.

Późniejszy rozwój wypadków wskazuje na to, iż Olpiński staje się agentem niemieckim, którego zapłatą jest udostępnienie mu możliwości szerokich afer handlowych i ciemnych interesów. Rozwija zdumiewającą działalność w wielu krajach Europy. Bywa w Paryżu, gdzie mieszka w pałacu „króla śmierci" Bazylego Zacharowa, jako jego gość. Bywa w Rzymie, widują go w Nicei, gdzie w towarzystwie Marleny Dietrich grywa w ruletę. Zjawia się nawet w Watykanie i usiluje tam dokonać jakiejś afery, wykorzystując dalekie pokrewieństwo z jednym z kardynałów. Tutaj następuje pierwsze niepowodzenie.

Prawem serii sypią się dalsze. Olpiński przegrywa w kasynach gry. W towarzystwie swej córki z pierwszego małżeństwa (żyjącej obecnie w Paryżu) przegrywa w Monte Carlo pół miliona franków. A kochana przez niego córka wpada w rozpacz. Olpiński z tym większą energią przystępuje do dalszych interesów. W okresie organizowania wystawy paryskiej wypuszcza żetony pamiątkowe, sprzedaje je za pośrednictwem związku kelnerów w Paryżu, osiągając znaczne zyski. Ciągle niepewne interesy umożliwia mu jakaś tajemnicza protekcja, prawdopodobnie w postaci berlińskich „mocodawców".

Wojna zastaje go w Paryżu. Nie ma bezpośrednich dowodów na to, że działa tam jako szpieg polityczny niemiecki, jednak na ten fakt wskazują liczne koncesje, jakie otrzymuje od Niemców po upadku Francji. Jeszcze przed tym udało mu się nawiązać kontakt z otoczeniem gen. Sikorskiego. Wkrótce jednak traci tu zaufanie. Podejrzany o szpiegostwo ucieka przed aresztowaniem do Szwajcarii. Agenci kontrwywiadu śledzą go w pociągu. Olpiński myli czujność, wyskakując nocą z pociągu.

Dostaje się do Genewy, gdzie ktoś życzliwy ostrzega go, o oczekującym już nakazie aresztowania. Ucieka więc do Berlina. Po upadku Francji uzyskuje między innymi koncesję na założenie biura skupu metali dla lotnictwa niemieckiego przy 15 proc. udziale w obrotach. Zarabia wielkie sumy. Żyje wystawnie i hulaszczo. W mieszkaniu jego odbywają się luksusowe uczty z udziałem dygnitarzy hitlerowskich, kollaboracjonistów francuskich oraz artystów opery z Sonią Blacher, tancerką baletu na czele. Sonia mieszka z nim jako oficjalna przyjaciółka.

Interesy wymagały szerokiego stosowania łapownictwa, bardzo wśród dygnitarzy hitlerowskich rozpowszechnionego.

Zgubił go przypadek. Olpiński sam mówił potem w Oświęcimiu, że zginął... przez cygaro. Pewnego razu ofiarował on pudło drogich cygar pewnemu dygnitarzowi, prosząc o załatwienie jakiejś sprawy. Dygnitarz sprawy nie załatwił, wobec czego Olpiński zwrócił się do innego. Tamten podczas rozmowy poczęstował go cygarem. Olpiński poznał „swoje" cygaro. Doprowadziło go to do wściekłości. Opowiedział całą historię Niemcowi, sądząc, że w ten sposób podstawi nogę poprzedniemu, niesolidnemu „kontrahentowi". W rezultacie obaj Niemcy porozumieli się ze sobą i postanowili utrącić niewygodnego łapówkodawcę. Wszczęto śledztwo. Wyszły na jaw niebywałe historie korupcyjne. Olpińskiego aresztowano i wysłano do Oświęcimia.

Nasz informator opowiada jak dostrzegł go po raz pierwszy, kiedy bohater wielu złotych afer wychudzony i mizerny, w płaszczu na gołym ciele, stał w kolejce więźniów oczekującej na prześwietlenie roentgenowskie w korytarzu bloku nr 28.

Jako reichsdeutsch i człowiek ustosunkowany korzystał z przywilejów. Posiadał osobny pokoik, dostatnio urządzony, znaczny zasób własnej bielizny i innych potrzebnych przedmiotów. Śmierć jego nastąpiła z wyroku „sądu kapturowego" więźniów przez podrzucenie mu wszy tyfusowej. Przed śmiercią los nie oszczędził Olpińskiemu jeszcze jednego rozczarowania. Dowiedział się mianowicie, iż ukochana jego, Sonia Blacher, której podobizna wisiała nad jego łóżkiem, zagrabiła jego meble, kosztowności, m. in. schowane w specjalnej skrytce 10 milionów franków i wypędziła córkę z mieszkania. Olpiński zwrócił się do jednego adwokatów paryskich, upoważniając go do wytoczenia procesu, jednak nie doczekał się jego rezultatu.

VIR BONUS

Któregoś dnia, idąc Marszałkowską, zauważyłem w oknie jakiejś księgarni dwie obok siebie wystawione książki: Marka Fabiusza Kwintyliana „O wykształceniu mówcy" i Tadeusza Gouta „Sztukę wymowy". Kwintylian był znakomitym rzymskim mówcą, adwokatem i nauczycielem wymowy w I wieku po Chrystusie; p. Tadeusz Gout, o ile mi wiadomo, jest aktualnie praktykującym adwokatem warszawskim. „O wykształceniu mówcy" jest tylko skromnym wyborem z wielkiego dzieła Kwintyliana pt. „Institutio oratoria"; 62-stronicowa „Sztuka wymowy" stanowi rzecz zamkniętą, traktującą o „technice publicznego przemawiania". Dwaj adwokaci, oddzieleni od siebie odstępem dwóch tysiącoleci, spotkali się w witrynie księgarni. Może księgarz umyślnie zestawił obydwie książki, ile że był to okres otwarcia sejmu naszego, pierwszych obrad, przemówień i dyskusyj? Rzeczywiście, gdyby posłowie kupili sobie te dwie książki — pomyślałem: — jaki by z nich mieli pożytek?

Z książki mecenasa Gouta dowiedzieliśmy się rzeczy następujących: jak należy ćwiczyć głos, aby był dobrze przez audytorium słyszanym — na dużych zebraniach i wiecach powinno się np. posługiwać głosem falsetowym, albowiem im głos wyższy i ostrzejszy, tym dalej dociera; dowiedzieliśmy się, jak miarkować oddech podczas przemawiania; gdzie kłaść akcent, który bywa czworaki: naturalny, logiczny, symboliczny i nastrojowy, przy czym ,jak się zdaje, dwa ostatnie jego rodzaje są ważniejsze od dwóch poprzednich, ostatni zaś jest bodaj najważniejszy, ponieważ „nastrój rozpala serca słuchaczów", albo działa jak „powietrze przesycone elektrycznością"; dowiedzieliśmy się jeszcze, kiedy i gdzie trzeba czynić w przemowie przestankowanie i pauzy; jak używać gestykulacji i mimiki, które są „niemą mową duchą"; w jaki sposób zwalczać tremę („przez wzmocnienie siły woli i opanowanie nerwów") — i wielu innych dowiedzielibyśmy się rzeczy, zapewniających mówcy niechybny efekt i niemilknące oklaski. I dopiero na końcu książki, w dwustronicowym rozdziałku, autor zauważa, że prócz omówionych przez niego zewnętrznych przymiotów, mówca powinien pamiętać o rzymskiej zasadzie: „nemo orator nisi vir bonus" — mówcą może być tylko mąż dobry, mąż dzielny — to znaczy człowiek z charakterem. Wobec tego, że uwaga ta umieszczona została na końcu, odnosi się wrażenie, że charakter nie jest dla mówcy conditio sine qua non, lecz raczej uzupełnieniem całej, możliwie najdoskonalszej, „techniki" krasomówczej, uzupełnieniem, które jest, oczywista, korzystne, jednak nie konieczne. Któż bowiem zaręczy, czy zalety charakteru, jego niezłomność i prawość, nie utrudniają niekiedy działalności krasomówcy, który musi czasami być giętki? Mecenas Gout zapytuje w rozterce: „Nie wiemy, czy życie błogosławić czy przeklinać. Czy dobroć jest cnotą czy głupotą? Czy lepiej kochać czy nienawidzieć? Czy? Och, zbyt dużo takich pytań kłębi się w naszych myślach!"

W olbrzymim kwintylianowym podręczniku wymowy sprawy są jak gdyby odwrócone: charakter mówcy postawiony jest na pierwszym miejscu i staje się warunkiem nieodzownym zarówno jego powodzenia jak i jego zdolności przekonywania słuchaczów, zgodnie ze starorzymską maksymą: „verba docent, exempla trahunt" — słowa wprawdzie uczą, ale przykłady pociągają. Kwintylian w takich słowach ujmuje osobowość mówcy:

„Ma tedy być mówca vir bonus (rzetelny, z charakterem) i w słowie biegły — atoli, co z samej natury ważniejsze jest i większe — zwłaszcza ma być człowiekiem dobrym. Sama bowiem natura — w tym, w czym szczególnie zdaje się być łaskawa na człowieka i czym nas spośród innych istot wyróżniła, nie macierzą byłaby lecz macochą, gdyby w zdolności słowa znalazła nieprzyjaciółkę prawdy: niemymi bowiem rodzić się, nie mieć żadnego rozumu byłoby lepiej, niźli dary opatrzności obracać ku wzajemnej zagubie... Skoro tedy mówca jest człowiekiem dobrym — takiego nie można sobie wyobrazić bez moralności; a moralność, biorąc wprawdzie pewne popędy z natury, wydoskonaloną jednak być musi przez naukę; ma więc mówca, przede wszystkim drogą gorliwej pracy naukowej, wypielęgnować charakter oraz zgłębić dziedzinę wszystkiego, co uczciwe i sprawiedliwe. Bez tego nie może być nikt ani człowiekiem dobrym, ani w słowie biegłym".

Tak stawia kwestię Kwintylian, i — w konsekwencji — rozwiedzie się szeroko nad „moralnym wykształceniem" mówcy, które, jak każde wykształcenie i wychowanie, aby było głębokie i trwałe, musi się rozpocząć wcześnie: czym skorupka za młodu nasiąknie... Toteż, w dalszej konsekwencji, Kwintylian poświęci w swym traktacie wiele miejsca wychowaniu człowieka w ogóle, wychodząc z założenia, że jakie społeczeństwo ,tacy mówcy — coś niby w tym sensie: jaki słuchacz, taki wieszcz, albo: wart Pac pałaca a pałac Paca.

U Kwintyliana rzecz wygląda w ten sposób, że wszystkie zewnętrzne przymioty mówcy, jego „technika" krasomówcza, gest i mimika, jego falset czy niefalset, taki czy inny akcent — wszystko to powstaje samorodnie: z jego charakteru, z jego osobowości. Vir bonus, kiedy trzeba, zdobędzie się na krzyk; kiedy indziej na szlachetny, naturalny patos; innym razem szczerze i prosto wzruszy słuchacza; za innym razem znowu wywoła w nim nastrój tak prawdziwy i naturalny, jak przyroda czaruje nas nastrojami, niezależnie od nas i niezmożenie. Słowem, vir bonus, jeśli czuje w sobie prawdę, musi nią zdobyć słuchacza, choćby nawet jego tzw. zewnętrzne warunki nie były doskonałe. A jeśli nie jest to vir bonus, jeśli w duszy jego nie mieszka poczucie prawdy, najwspanialsze nawet efekty zewnętrzne będą tylko złudnym decorum, pozą aktorską, fałszywym blaskiem, grą i gierką, osłaniającą pustkę. Będą pozorem, który może nas na chwilę uwieść, ale który prędzej czy później rozpoznamy i stracimy do niego na zawsze zaufanie. I rzeczywiście: jakże przyjemnie i z jakim pożytkiem słucha się choćby prostego, nieuczonego, ale mądrego, o dobrych siwych oczach, chłopa, od którego można się wiele życiowo nauczyć, i jakim teatrem bywają nieraz przemówienia adwokatów, którzy w krasomówczej sofistyce potrafią wszystko wywrócić na nice i znowu (jak mówiono w dawnej polszczyźnie) odwrócić szywrot na wywrot.

Jerzy Wyszomirski

KONGRES WE FLORENCJI (III)

(Opowiadanie historyczne)

Napisał
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Kawa nie podobała się Lucchesiemu i już chciał coś zacząć gadać po swojemu do córki, ale Cieliński położył mu rękę na ramieniu i Włoszysko się opanowało. Emanuel jednak pomyślał, że co się odwlecze, to nie uciecze, i że Carla jeszcze dostanie za swoje.

Kiedy się znowu znaleźli na mieście, tym razem profesor zaproponował wyniesienie się z „Pensione Lucchesi" i poszukanie czegoś lepszego. Ale Krasowicz uprzytomnił sobie w tej chwili, że porzucenie piekielnego pensjonatu sprawiłoby mu dużą przykrość, gorąco więc zaprotestował. Profesor spojrzał na niego podejrzliwie i uśmiechnął się. Emanuel zauważył ten uśmiech i nasrożył się naiwnie.

— Pan coś sobie pomyślał — powiedział ni w pięć, ni w dziewięć — ale to jeszcze nie jest słuszne...

— Jeszcze!... — żartobliwie podrażnił go profesor

Gdy przed wieczorem przyszli do pensjonatu, aby przebrać się w smokingi na zebranie inauguracyjne, zastali cały dom do góry nogami. Eks-porucznik bersaglierów szalał. Stał w stołowym pokoju i krzyczał, uderzając szpicrutą w stół. Lucia jak zwariowana kręciła się po pokojach gościnnych, panna Goethe co chwila wstawiała siwą głowę przez drzwi to do Krasowicza, to do profesora, nie zwracając najmniejszej uwagi na ich negliż. Carli nie było widać ani słychać.

O co chodziło Lucchesiemu, już trudno było z jego słów rozpoznać. Rozżalał się okrutnie nad swoim losem, wołał, że się nie na to urodził, żeby mieć trzeciorzędny pensjonat, groził, że sprzeda zakład wraz z książkami panny Goethe i wyniesie się do Ferrary, gdzie go zna każde dziecko i wszyscy wiedzą, kto to jest Aymone Lucchesi. Przyczepił się potem do książek panny Goethe i długo wymyślał na nie: że mu miejsce zajmują, że gospodarz twierdzi, że mu się podłoga zarwie ,że niepotrzebna mu na nic cała mądrość niemiecka, tutta questa sapienza tedesca!

Przez ten czas panna Goethe błagała profesora o ratunek.

— On ją zabije, zabije, jak zabił jej matkę!

— Zabił jej matkę?

— Dosłownie nie. Ale zamęczył ją. Biedna kobieta. On i to dziecię (das Kind) zabije. On ją naprawdę bije czasem prętem, jak się rozwścieczy, potem płacze i przeprasza na kolanach, ale co to pomoże! Moje książki, a te moje książki! Co one jemu szkodzą? On je spali wszystkie kiedyś... Jedyny mój majątek. Spory kapitał zawarty jest w tej bibliotece. Zapisałam je testamentem uniwersytetowi we Florencji. A jeżeli on je spali? Niech pan do niego pójdzie, panie profesorze, niech on tak nie krzyczy...

Ale profesora niecierpliwiła ta cała awantura, nie chciał się też wdawać w rozmowę ze zwariowanym Włochem. Ubierał się w milczeniu, pośpiesznie, ale szło mu to niesporo, że co chwila spokój mu mąciła panna Goethe. Krasowiczowi ręce drżały jak w febrze i zaciął się dwa razy przy goleniu. Golił się przy oknie i kropla krwi spadła na kloszyk z winogronami, rozlewając się po berylowych jagodach. Zapomniał czarnego krawata. Na szczęście profesor miał dwa. Z najwyższą trudnością zawiązał muszkę pod szyją. W domu, w Paryżu, wiązała mu zawsze matka.

Perypetie pensjonatowe zajęły im tyle czasu, że kiedy przyjechali taksówką do hotelu „Savoia", było późno i wszyscy uczestnicy kongresu już się zebrali. Ogromne dwa parterowe salony hotelu napełniał tłum odświętnie ubranych panów i pań. Krasowicz od czasu do czasu spostrzegał znane całemu światu twarze, Papini, Unamuno, Heinrich Mann, byli tutaj ze swymi niezwykłymi twarzami wznoszącymi się nad banalnymi mundurami smokingów i sztywnych, śnieżnych plastronów — jedynie sposób wiązania krawatów zdradzał intelektualistów. Pośrodku salonu stał Schwartzenberg, prezes związku i witał gości. Profesor i Krasowicz podeszli, aby mu się przedstawić. Powiedział im kilka banalnych frazesów, jakie miał w ustach dla wszystkich i dodał, że trzeciego członka delegacji już poznał, że mu go przedstawiła już „ma cousine Soudray".

Emanuel odszedł od austriackiego księcia i rozejrzał się po sali. Służba we wspaniałych granatowych ze złotem liberiach roznosiła już pierwsze kieliszki Asti, koło których zaczynało się już robić tłoczno. W głębi jarzył się bufet. W salonach panowało gorąco i panie zsuwały z ramion futrzane stuły i modne wówczas wieczorowe żakieciki i pelerynki. Od cudzoziemek, które wyglądały mniej więcej inteligentnie i zaniedbanie, wyróżniały się panie z miejscowej toskańskiej arystokracji. Smukłe i wiotkie, osypane nadzwyczajnymi klejnotami, bardzo wydekoltowane, wydawały się Emanuelowi nimfami, istotami nieziemskimi. Nie śmiał się do nich zbliżyć. Ilekroć piękność kobiety wzruszała go naprawdę, tyle razy odczuwał paraliżującą nieśmiałość i coś w rodzaju mgły przysłaniało jego siwe oczy.

W jednym z odległych kątów drugiego salonu spostrzegł damę równie piękną, może piękniejszą od innych, ale też i różną. Była to jasna blondynka, wysoka, dorodna, o rysach przypominających rysy Marii Antoniny, ale mającą w oczach spokojny, północny błysk uroku i inteligencji, tak charakterystyczny dla Francuzów, pochodzących z Normandii i pogranicza Bretanii. Stała, trzymając w ręku kieliszek wina, w którym ledwie umoczyła usta, i rozmawiała bardzo wesoło z Luśniakiem. Luśniak wyglądał prześlicznie w smokingu, z niedbale zawiązaną kokardką, z włosami, jeśli się można tak wyrazić, starannie rozrzuconymi. W ich niedbałym ułożeniu ponad pozłocistym czołem znać było wielką sztukę podobania się kobietom.

Luśniak ujrzawszy zdaleka Krasowicza swobodnie skinął na niego ręką, Emanuel przecisnął się w tamtą stronę, parokrotnie odrzucając ofiarowywane mu przez lokai wino.

— Chodź, chodź pan — powiedział nadwiślańskim akcentem Luśniak — przedstawię pana mojej paryskiej znajomej, pani Soudray.

— Więc to jest pan de Soudray?

— Nie „de Soudray" tylko „Soudray", comtesse Soudray — to u nich tam szalona różnica- — z żarłem w głosie ciągnął muzyk i przedstawił Krasowicza pięknej pani jako swojego przyjaciela. Hrabina Soudray podała mu rękę i zaraz zwróciła się gdzie indziej. Młodzi ludzie zostali sami.

— Jak panowie mieszkają? — zapytał Luśniak.

— Doskonale — uśmiechnął się Manu, przywołując przed oczy niesamowity pensjonat. Ale nie chciał nic złego mówić o swoich gospodarzach. Chuda, nieco pochylona, drobna postać Carli stanęła przed nim jak żywa.

Tymczasem Luśniak pokazywał mu między zebranymi różne znakomitości. Okazało się, że muzyk zna ich znacznie więcej, niż nawet profesor Cieliński. Zjazd zgromadził osoby w Europie modne; architektów, polityków, zwolenników ustroju sowieckiego, znanych zbieraczy chińskiej porcelany. Ten malarz, syn ambasadora, miał willę w Pekinie, ta angielska lady w towarzystwie tej francuskiej żony przemysłowca zwiedzała pamiątki staroruskiego budownictwa, objeżdżając wzdłuż i w poprzek Sowiety wagonem salonowym nieboszczki Wialcewej. Delegacja polska ginęła w powodzi tego rodzaju znakomitości, Schwartzenberg triumfował i uśmiechał się do wybuchających żarówek magnezjowych, chociaż intelektualizmu w reprezentowanej tutaj Europie było mało.

— Skąd pan ich wszystkich zna? — spytał się Krasowicz.

— Mam najlepszy fach pod słońcem: jestem muzykiem! I to kompozytorem, nawet techniki nie potrzeba! Mam wszystkie drzwi otwarte, tylko czasami trzeba je lekko nacisnąć...

— To nie każdy potrafi.

— Jak się panu podoba „comtesse je - voudrais?".

— Kto?

— Comtesse „Je - voudrais". Tak ją przezywają w Paryżu.

— Bardzo piękna kobieta.

— Tylko niech pan uważa, bo na ładnych chłopców leci.

— Przestałem już być chłopcem — obruszył się nieco Krasowicz.

— Dla niej akurat. Zaraz po dziesiątej uciekniemy stąd. Umówiłem się z nią i z Schwartzenbergiem do jakiejś knajpy. Niech pan idzie z nami.

— Nie mogę. Muszę wracać — odpowiedział Manu.

Miał niejasne poczucie, że rzeczywiście musi zaraz wracać do swojego obskurnego locum, tak jak gdyby ktoś tam czekał na niego.

— Frajer z pana — zaśmiał się Luśniak i Krasowicz tylko czekał, iż dostanie od niego pięścią w brzuch.

W tej chwili pani Soudray wróciła i już nie porzucała ich ani na chwilę. Prowadziła zabawną, ale pustą rozmowę z Luśniakiem. „Ten szelma — pomyślał Krasowicz — jak on gada"! I rzeczywiście muzyk chciał go widać olśnić swoim akcentem, swoimi słówkami z „argot", przesadnym graseillowaniem. Mimo to Emanuel zauważył parę błędów.

Zupełnie nie spostrzegł jak i kiedy pani Soudray wyciągnęła go na słówka, jak wziął udział w jej rozmowie z Luśniakiem, jak słuchał jej opowiadań o obecnych i nieobecnych, i jak po chwili rozpoczął się już tylko dialog pani Soudray z nim. Po chwili wiedziała już o matce Emanuela, o jego dwuletnim pobycie w Paryżu, znała mniej więcej temat jego wydanych dwóch powieści, wysokość nagrody literackiej, otrzymanej przez niego i chciała się dowiedzieć szczegółów jego mieszkania we Florencji. Ale pod tym względem Manu okazał największą wstydliwość i pani Soudray nic się od niego w tej materii nie dowiedziała.

Przez czas rozmowy podchodziło do nich wiele osób, pani Soudray przedstawiała wszystkim Emanuela, dodając parę pochlebnych wyrazów: zamieniano parę frazesów i osoba przedstawiona odchodziła, a oni zostawali w trójkę, wciąż pogrążeni w ożywionej rozmowie. Emanuel ani nawet zauważył, jak przez ten krótki czas poznał prawie wszystkich członków kongresu i wypił parę kieliszków Asti. Pani Soudray, wciąż wlokąc ich za sobą, za trenem swojej złocistej sukni, przesunęła się przez obie sale i znalazła się przy bufecie. Luśniak obsłużył i panią Soudray i Emanuela; jedząc majonezy rozmawiali o katolicyźmie Claudela i o jego listach do Riviera, w których namawiał go do Stołu Pańskiego. Krasowicz pod wpływem wina czy też widoku pięknej damy mówił bardzo ładnie, widział, że pani Soudray była olśniona, a Luśniak dziwował się, że ten warszawski literat jest tak bardzo „au courant" paryskich zagadnień. Schwartzenberg przyłączył się do nich i Krasowicz zauważył, że otoczyła ich pustka: wszyscy podziwiali tę piękną i niepospolitą czwórkę, stojącą po środku salonu. Pani Soudray przepuszczała przez palce olbrzymie perły „sottoir'u", jaki miała na szyi.

Zaczęli mówić o Florencji, o urodzie innych krajów, między innymi Austrii i Niemiec. Krasowicz przyznał się, że nie zna zupełnie Niemiec. Schwartzenberg zaczął chwalić Tyrol i Salzburg, pani Soudray mówiła o Nadrenii.

— Chciałabym to wszystko panu pokazać — powiedziała niespodziewanie ciepło i poufnie do Emanuela, który zdrętwiał na ten ton jej głosu. — A teraz chodźmy już stąd.

— Zmieniamy lokal — ryknął basem Luśniak.

— Niestety, ja nie mogę towarzyszyć państwu — tłumaczył się Krasowicz — umówiłem się z kim innym.

— Chodź pan — szepnął mu w ucho Luśniak — pluń pan na tamto, nie pożałujesz.

— Niestety, nie mogę — wątle powiedział Krasowicz, instynktownie odsuwając się od muzyka. Bardzo mu się chciało pójść gdzieś jeszcze w tym towarzystwie, ale bał się dogodzić swojej zachciance. Szybko się pożegnał i odszukał profesora, pogrążonego w dyskusji historycznej z jakimś zatabaczonym Włochem. Wyszli.

Wracali od domu w milczeniu. Mieli spory kawał do przejścia piechotą. Noc stała się zimna i z gór szedł powiew mroźny prawie. Ale niebo tym przejrzystsze stało nad bramą świętego Mikołaja, jasno szafirowe, kryształowe, otwarte.

Profesor przystanął i podniósł rękę w górę.

— Niech pan patrzy — powiedział — to jest prawdziwe niebo południa. Błogosławione...

Ostrożnie otworzyli drzwi na dole i na górze otrzymanymi kluczami, i weszli do swoich pokoi. Pensjonat zaległa cisza. Krasowicz spostrzegł światło w jadalni, a ponieważ męczyło go pragnienie, poszedł tam szukać wody. Wody nie znalazł, ale na stole stało wino. Nalał sobie do szklanki, ale ręka mu drgnęła i wino przelało mu się gwałtownie plamiąc stół i serwetę. Krasowicz wychylił szklankę i obejrzał się za czymś, aby wytrzeć wino. W stołowym ścierki nie było. Otworzył drzwi od pokoju „ogólnego", ale tam było ciemno i pusto. Światło szło z kuchni. Krasowicz skierował się w tamtą stronę i stanął na progu.

Jeszcze ani razu nie był w kuchni Teraz spostrzegł pod ścianą małe palenisko, na którym tlił się wątły ogień. Mała żarówka pod sufitem dawała słabe światło. Na płycie stał brązowy imbryk do kawy. Przy palenisku na białym drewnianym krześle siedziała Carla oparta na poręczy krzesła rękami, ukrywszy twarz w zagłębieniu łokcia, płakała cichutko. Łkanie wstrząsało jej ciałem od czasu do czasu, ale usiłowała je wstrzymywać, chlipiąc i pociągając nosem, jak dziecko. Emanuel nie namyślając się, dotknął jej pleców palcami. Odwróciła ku niemu twarz czerwoną, spłakaną, zalaną grubymi, jak groch, łzami. Zdawało się, że się nie zdziwiła: była na wszystko już obojętna.

— Ach, to pan — szepnęła.

— Dlaczego pani płacze? — zapytał gwałtownie.

Pytanie brzmiało retorycznie. Czyż mało miała powodów do płaczu? Całe życie biednej dziewczyny było dostatecznie żałosne. Manu nieobmyślonym ruchem wyciągnął ku niej dłonie. Uchwyciła się ich, jak tonący koła ratunkowego i nie puszczając ich powstała z krzesełka. Wpatrzyła się w twarz młodego człowieka. Łzy wyschły i w oczach jej zjawił się ten intensywny wyraz pytania, jaki mają czasami rozumne zwierzęta, albo przedwcześnie rozwinięte dzieci. Krasowicz przeląkł się.

— Niech pani nie płacze, niech pani nie płacze — powtórzył machinalnie kilka razy.

Wówczas język dziewczyny rozwiązał się, jak gdyby nie miała już tajemnic przed Krasowiczem. Poczęła mówić szeptem, ale z wielką gwałtownością, mieszając słowa niemieckie i włoskie:

— Niech mi pan coś poradzi. Niech mnie pan na Boga ratuje, niech mnie pan zabierze z tego domu, ja tu nie wytrzymam, ja tu umrę. Pan widzi, jakie ja tu mam życie, ale nie wie pan ani połowy... On myśli, że na mnie można zrobić majątek, że ja wyjdę bogato za mąż.., ale kto mnie zechce taką brzydką, taką biedną... pan wie, my mamy same długi, same długi...: wierzyciele nam dokuczają, robią sceny... a do wierzycieli ojciec nie wychodzi, mnie wysyła..: „niech się uczy dziewczyna"... i panna Goethe też chce, żeby zwrócić jej pieniądze, ona nam pożyczyła trzy tysiące lirów... na pensjonat.., i dzisiaj nie chciała mi dać pieniędzy na śniadanie, musiałam pożyczać u sąsiadów... powiedziała, że dosyć już na nas zmarnowała pieniędzy i że tymi Polakami długów nie opędzisz... a ojciec kazał zrobić takie kosztowne śniadanie.., i potem krzyczał na mnie, że wszystko zmarnowałam,,, a ja,.. a ja... jestem tutaj jak w grobie...

Emanuel nie wiedział co robić.

— Chodźmy, chodźmy stąd — powtarzał.

Wreszcie Carla zrozumiała co mówił i nagle milknąc wstrząsnęła przecząco głową. Łzy podchodziły jej znowu do gardła i dławiły głos. Z wysiłkiem pokazała imbryk na płycie i wydusiła:

— Kawa... dla ojca..:

Emanuel przypomniał sobie po co tu przyszedł, wyjął swe ręce z rąk Carli i znalazł oczami świeczkę na kuchennym stole.

— Zaraz wrócę.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

Jan Rojewski

ORESTEJA



Grecja jest ostatnio modna. Ku zadowoleniu „Tygodnika Powszechnego", idzie w Atenach komedia grecka w inscenizacji Anglików, w Warszawie wtoczyła się na scenę tragedia Ajschylosa, w inscenizacji Szyfmana. Ku czyjemu zadowoleniu — nie wiadomo. Strój grecki stał się zresztą obowiązujący na wszystkich niemal scenach kraju od dwóch lat. W udawaniu Greków prześcignęli aktorzy i reżyserzy nawet Anglików. Kto ma rękę i nogę chwyta za drewniany miecz i odziewa sandał. Zofia Małynicz gra po raz drugi w ciągu roku Klitemnestrę w dwu rozmaitych sztukach, z tą drobną różnicą, że w „Elektrze" była jeszcze żoną Kreczmara — Aigistosa, podczas gdy w „Orestei" ginie z rąk tegoż Kreczmara, już Orestesa. Takie ewolucje zdarzają się nawet w małżeństwach poza scenicznych. Kreczmar zapomniał już prawdopodobnie, jak się nosi spodnie, bo widujemy go niezmiennie w samej górze od pyjamy.

Obok strojów greckich obowiązuje w teatrach orkiestra dęta i także mowa. Aktorzy skandują z przyzwyczajenia nawet w krótkich wytchnieniach od klasycznego repertuaru. Skandują, skandują Fredrę Shawa i Zapolską, nawet Ważyka skandują. Skand-al.

Warszawska „Oresteja" nie grzeszy zresztą skandowaniem. Przeciwnie. Od czasu do czasu zjawia się postać, która odwala kwestie realistycznie, i to często w dialogu z patetycznie skandującym parnerem. Powstały w ten sposób dysonans w nastroju, można by uzmysłowić następującym dialogiem: „Która godzina? — „Za tydzień święta Wielkanocne..." — „To doskonale, bo właśnie na tej stacji wysiadam!", Tak brzmi dialog Kreczmara z odźwiernym, przy czym Kreczmar gra Orestesa w koncepcji Wiercińskiego z „Elektry" Gerardaux, czyli doskonale właśnie odpowiadającej Ajschylosowi, podczas gdy odźwierny jest postacią z „Wesela Figara". Zato niania Orestesa wcieliła w tragedię Ajschylosa nianię Skarlet O'Hara z amerykańskiej powieści „Przeminęło z wiatrem".

Od robienia wiatrów są poza tym instrumenty dęte i perkusja. Z rozbrajającą naiwnością Szyfmana, podkreśla wyćwiczony puzonista mocniej skandowane słowa krótkim puknięciem, co przypomina zabawę z lat szkolnych. Jeżeli dodamy, że chór, wypowiadając, na przykład, trzy jednogłoskowe wyrazy, drobi jednocześnie trzy kroczki naprzód w takt trzech spóźnionych puknięć, wyjdzie na jaw cała finezja inscenizacji. Coś w rodzaju wolnopełzającego, dwucylindrowego samochodu.

Szyfman pokazał jak łatwo można ośmieszyć w oczach dzisiejszego widza, sztukę klasyczną. Wystarczy tylko nie wystawić jej znakomicie, żeby zamiast koniecznego napięcia, którym dosłownie elektryzowała „Elektra" w inscenizacji Wiercińskiego, wywołać szczerą wesołość najsmutniejszego nawet widza. Spostrzega się wówczas wszystko, co drugoplanowe i śmieszne. Gołe męskie kończyny wcale nie dłuta polikletowego, herodowe brody i hełmy oraz miny. W minach skupionych, a ważnych celują zwłaszcza żołnierze-statyści. Marszczy się każdy co najmniej jak Achilles. Jasne, że w tej atmosferze miłego ubawienia, które ogarnia widownię, nie jest w stanie ocalić postaci Apollina dobra interpretacja Janusza Strachockiego. To reżyser zostawił widzowi czas na kontemplację. Przypomina się stary dowcip o turyście, który zwiedził muzeum watykańskie i posłał żonie swoje zdjęcie obok posągu Apollina Belwederskiego ze skromnym dopiskiem: „Ten na prawo — to ja". Proponuję wykorzystać ten pomysł. W dalszych przedstawieniach „Orestei" reżyser Szyfman winien kroczyć obok Strachockiego z napisem: „Ten na lewo to Apollo, słowo honoru, Szyfman!"



Za to dekoracje są autentyczne, jak dzieło rąk murarskich. Ogromne kolubryny, bez śladu perspektywy scenicznej, zapychają scenę jak meble po Niemcach, łódzkie mieszkania. W realiźmie godnym BOS-u całkiem zapomniano o widowni. Kolumna dorycka, naturalnej wielkości, zasłania od natrętnych oczu widza główne wejście na scenę. Orestes, zamiast dobijać się do drzwi u progu, cofa się, aby był widoczny, o dobrych pięć kroków i stąd dopiero woła: „Otwierać!". Jak w operetce. Kapitalna scena dla Dymszy.

Muszę przyznać, że pod jednym względem scena Teatru Polskiego zdobyła moje uznanie. Jest to ostatnie, chyba, miejsce w Polsce, którego nie dosięgła modna obecnie, nauka chodzenia. Tam się chodzi, jak się komu podoba.

Poza swobodą chodzenia spodobała mi się jeszcze Nina Andryczówna. Ale dopiero w drugim akcie, kiedy przestała być Kassandrą w interpretacji Szyfmana, lecz usiadła na widowni w normalnym płaszczu z rudym lisem i w modnym kapeluszu. Czy ujrzymy jeszcze kiedyś na scenach zwykłych ludzi w zwykłych ubraniach, mówiących zwykłym językiem? Mowa jest srebrem, ale nie ta Srebrnego, autora przekładu. „Zamilcz! Zaiste w trwodze pląsa moje serce!"

A może by przenieść Teatr Polski do Łodzi, a Teatr Wojska do Warszawy. I Warszawa by skorzystała i Teatr Polski by skorzystał. Łódź jest przecież kuźnicą rzetelnego dorobku scenicznego. Albo może raczej należało by z wielu względów literacko-teatralnych przenieść „Kuźnicę" do Warszawy, bo tutaj bez Kotta myszy bardzo ucztują...

P. S. Na antycznych przedstawieniach „Orestei" greccy widzowie mdleli pono z wrażenia. Inscenizator warszawski może być pewny podobnych skutków, bo przedstawienie trwa cztery i pół godziny, a już po upływie dwóch, przestaje śmieszyć nawet szyfmanowska inscenizacja.

P.P.S. Po przeczytaniu niniejszej recenzji przez red. Mitznera, wywiązał się między nami następujący dialog:

Mitzner: Podwajam panu honorarium za tę recenzję...

Ja: Spodobała się panu, co?

Mitzner: Nie... za to, że pan wysiedział do końca...

KRONIKA KULTURALNA

PIERWSZY PO WOJNIE zjazd przedstawicieli studentów medyków wszystkich naszych uniwersytetów odbył się przed miesiącem w Łodzi. Obecnie, pod redakcją p. Włodzimierza Demczuka, który przewodniczył komitetowi organizacyjnemu zjazdu, wyszła „Jednodniówka", omawiająca wyniki zjazdu i poświęcona sprawom zawodowym i naukowym medyków — czyli, w krótszym lub dłuższym czasie, przyszłych lekarzy. Na uwagę w „Jednodniówce" zasługuje niewielki lecz treściwy artykulik prof. Edwarda Grzegorzewskiego (z Akademii Lekarskiej w Gdańsku) p. t. „Ukształtowanie typu lekarza — zadaniem studiów lekarskich". Prof. Grzegorzewski stwierdza, że lekarzy należy wychowywać „w duchu odpowiedzialności i przydatności społecznej już od pierwszego roku studiów". Słusznie: prawie pół wieku temu Żeromski w osobie d-ra Judyma przedstawił tę samą tezę. Wszelako wartość lekarza zasadza się nie tylko na jego przydatności społecznej. Niezmiernie ważne są jego kwalifikacje naukowe. Prof. Grzegorzewski podkreśla, że przed wojną „lekarz polski, choć nie stanowił odrębnego typu wśród swoich kolegów w Europie, odznaczał się jednak dobrym na ogół poziomem wiedzy". Dziś, jak się zdaje, poziom ten spada. Starsze generacje lekarzy, którzy ukończyli studia i odbyli praktykę przed wojną, zachowały go. Ale szeregi ich przerzedziła mocno wojna, i spustoszenia w nich będzie w dalszym ciągu czynić starość i śmierć. Poziom dzisiejszy wiedzy lekarskiej na uniwersytetach — jak w ogóle ich poziom naukowy — pozostawia dużo do życzenia. Uniwersytety przecie wprowadziły na swych wydziałach t. zw. kurs zerowy, na który są przyjmowani kandydaci po wyjściu z gimnazjum, bez ukończenia liceum. Nie rokuje to dobrze na przyszłość, choć inaczej widocznie nie można było rozwiązać palącej potrzeby jak najszybszego uzupełnienia kadr inteligencji. Młodzi medycy na zjeździe łódzkim musieli z pewnością radzić nad tym wszystkim. A może za dużo mamy wydziałów lekarskich w Polsce? Kraków, Warszawa, Poznań, Łódź, Gdańsk, Lublin, Wrocław — to siedem. Czy nie lepiej utrzymać na czas przejściowy trzy albo cztery — powiedzmy, w Krakowie, Warszawie i Poznaniu — ale zato pod każdym względem doskonałe i najbogaciej wyposażone, niż rozproszkowywać je po całym kraju, nawet po miastach, gdzie brak klinik.

ŚWIETNĄ, PEŁNĄ dowcipu, znakomitej dialektyki i znajomości rzeczy odprawę dała Maria Dąbrowska swemu krytykowi — K. W. Zawodzińskiemu w artykule p. t. „O pewnej krytyce" (Odrodzenie" nr 10/119). Zawodziński zagiął parol na język i styl Dąbrowskiej w dramacie „Stanisław i Bogumił", drukowanym roku ubiegłego w „Twórczości", i przypuścił na niego, jak powiada Dąbrowska, szarżę ułańską. Ale cóż? Słaba kobieta wytrąciła momentalnie chwackiemu kawalerzyście szabelkę z ręki. Powinien błagać ją po sienkiewiczowsku: „dobij, wasani, wstydu oszczędź". Zawodziński zawziął się na archaizm i wyrazy gwarowe, użyte przez Dąbrowską w dramacie, i w swej nieznajomości historii języka polskiego posunął się tak daleko, że np. słowa: skot, smierny, bestry — uważa za pożyczki od innych Słowian. Do każdej szarży trzeba się odpowiednio przygotować i uzbroić; nie można lecieć na łeb na szyję, uniesiony czysto polskim zapałem, że jakoś to będzie. Gdyby Zawodziński zajrzał przed szarżą choćby do „Słownika Etymologicznego" Brücknera, dowiedziałby się, że „skot" (a od tego: skotarz, skotnik, skotnica, skotopaska, miejscowość Skotniki, nazwisko Skotnicki itd.) jest znacznie starszy w tym znaczeniu od „bydła", które początkowo znaczyło „mieszkanie", „byt" — od „być" i „bydlić"; że od słowa „smierny", które wyszło z obiegu, pochodzą przecie wyrazy „śmierzyć", „uśmierzyć"; że „bestry" znaczy to samo co „pestry" i „pstry", skąd narzeczowe: „piestrzyć", zamiast „pstrzyć"... Mimo humorystyczny w tym świetle efekt wystąpienia Zawodzińskiego, rzecz jest ostatecznie dość smutna: od profesora uniwersytetu im. Kopernika wymagać należy więcej sumienności.

St. Łatka

Kazimierz Sokołowski

REWIZJA SYSTEMU KARTKOWEGO

Nie ulega dla nikogo najmniejszej wątpliwości, że system aprowizacyjny w Polsce nie jest i nie może być trwały i niezmienny.

Przeciwnie — podlega on stałej ewolucji, a od pewnego czasu również i rewizji swego zasięgu. Jest on bowiem nie przyczyną, ale skutkiem; nie celem samym w sobie, ale środkiem do urzeczywistnienia celów natury społecznej lub gospodarczej, metodą, dopasowaną do zmieniających się w czasie warunków produkcyjnych i rynkowych.

Nasz system aprowizacyjny obsługiwał do niedawna z górą 9 milionów osób, ponadto zaś z różnych dodatków (zawodowych, terytorialnych i demograficznych) korzystały niespełna 4 miliony, wchodzące w skład poprzednio wymienionej kwoty. Można więc śmiało powiedzieć, że był to system zaopatrzenia powszechnego, gdyż ludność nierolniczą szacuje się na 11 milionów ludzi. Co więcej — karta żywnościowa przysługiwała nie tylko z tytułu pracy i bezpośredniego udziału w odbudowie życia gospodarczego, lecz również z szeregu tytułów filantropijnych i społecznych (emeryci, inwalidzi, studenci, repatrianci, rezerwiści itp.).

W miarę porządkowania naszej buchalterii narodowej, w miarę jak każda grupa, dotychczas stanowiąca przedmiot troski ministra Aprowizacji i Handlu, przechodzi pod bezpośrednią opiekę właściwego ministra (a więc np. studenci — pod opiekę ministra Oświaty) lub właściwego urzędu (np. emeryci — pod opiekę Z.U.S. i Państwowego Zakładu Emerytalnego), w miarę rozrostu produkcji krajowej i nasycania rynku artykułami żywnościowymi — rola aprowizacji reglamentowanej kurczy się i zmniejsza. Bo jeżeli towaru na rynku jest mało, jeżeli podaż nie pokrywa się z popytem, państwo musi racjonować, kontyngentować zaopatrzenie ludności w artykuły pierwszej potrzeby, w przeciwnym bowiem razie powstałaby głęboka krzywda społeczna, a poczucie sprawiedliwości społecznej zostało by ostro naruszone.

Stopniowo, chociaż powoli, zbliżamy się do samowystarczalności żywnościowej. I dlatego stopniowo przesuwamy na coraz lepiej zaopatrywany rynek wolny te grupy dotychczasowych posiadaczy kart żywnościowych, które łatwiej i bez zakłóceń zaopatrzą się na tym rynku i dla których karta żywnościowa nie stanowiła zasadniczej pozycji w budżecie. Po drugie — i to jest moment nader istotny — karta żywnościowa staje się coraz bardziej równoznaczna z częścią płacy i siłą rzeczy przekształca się w ekwiwalent pieniężny.

Przejście od towaru kartkowego do ekwiwalentu w gotówce nie może następować mechanicznie. Karta żywnościowa była odpowiednikiem braku towarów na rynku, kwitem na towary, a także wyrazem troski ze strony państwa o minimum egzystencji dla możliwie szerokich warstw ludności nierolniczej, o utrzymanie nie tylko pracującego, ale i członków jego rodziny. Im kto miał większą rodzinę, tym większy był jego przydział. Obecnie, gdy wracamy do normalnego systemu płac, pieniężny ekwiwalent karty staje się częścią płacy, która musi być proporcjonalna do funkcji, sprawności w pracy itp., strona zaś demograficzna i poniekąd dobroczynna topnieje do roli pomocniczej, przekształcając się w dodatek rodzinny, ściślej — dziecięcy. O celowości tego dodatku dziecięcego, który jest odpowiednikiem dążeń do szybkiej regeneracji narodu, nie ma potrzeby przekonywać.

W wyniku przeprowadzonych w roku bieżącym redukcji liczby osób, pobierających zaopatrzenie kartkowe, ilość kartek spadła ostatnio na 2,8 miliona. Równocześnie koszt tego zaopatrzenia, wyliczony po cenach wolnorynkowych według rzeczywistego wykonania norm kartkowych i dodatków do kart, zmniejszył się z 7,3 na 5,5 miliarda zł miesięcznie. Zarazem troskę o wyżywienie zbiorowe (szpitale, opieka zamknięta, dożywianie dzieci w szkołach itp.) przerzucono z resortu Aprowizacji i Handlu i Funduszu Aprowizacyjnego na właściwych ministrów, którzy w ramach własnych budżetów potrafią to wyżywienie zorganizować bardziej ekonomicznie i celowo. Przejście od gospodarki towarowej do pieniężnej pozwoliło dokonać oszczędności i uniknąć marnotrawstwa. Przedtem z kart lub zaopatrzenia zbiorowego korzystał każdy, kto chciał lub odpowiadał wymogom formalnym, interpretowanym bardzo rozciągliwie; obecnie tylko ten, kto istotnie musi.

System kartkowy istnieć będzie tak długo, jak długo rynek nie nasyci się towarem. Jeżeli to już nastąpiło lokalnie lub jeżeli przejście od przydziału w towarze do podwyżki płacy nie wywoła groźnych zjawisk inflacyjnych — należy ten system cząstkowo rewidować. I to właśnie ma miejsce.

I-4766 Warszawa

— to nowy numer konta „Tygodnia" w P. K. O.

Prosimy o wpłacenie na to konto prenumeraty na kwiecień.

PRACOWNICY kośćcem ruchu spółdzielczego

Jeżeli hasłem Związków Zawodowych jest: „każdy członek Związku Zawodowego — członkiem spółdzielni", to naczelnym zadaniem każdego członka Związku Zawodowego Pracowników Spółdzielczych musi być prowadzenie akcji propagandowej celem werbowania nowych członków i zaspokajanie potrzeb rzesz członkowskich na terenie swych placówek spółdzielczych. Zwłaszcza kierownictwo sklepów spółdzielczych łącznie z zarządami spółdzielni winno w tym kierunku czynić wszelkie zabiegi.

Na kongresie Związków Zawodowych przyjęto rezolucję, iż Związki Zawodowe będą „pomagać w rozbudowie ruchu spółdzielczego, prowadząc w tym kierunku ustawiczną propagandę i nakładając na swych członków obowiązek należenia do spółdzielni spożywców.

Toteż słusznie prezes Związku Pracowników Spółdzielczych , ob. St. Michalski w „Pracowniku Spółdzielczym" tak scharakteryzował zadania pracowników spółdzielczych placówek: „Na pracownikach spółdzielczych, którzy w pierwszej linii realizują proces uspołeczniania naszego życia, spoczywa dziś wielka, może nad miarę słabych sił ludzkich, odpowiedzialność. Ta odpowiedzialność wobec pochodu w przyszłość, wymaga od nas specjalnej, mocnej i jednolitej postawy. Przy wypracowaniu i utrzymaniu tej postawy, nie może zabraknąć żadnego z pracowników spółdzielczych. Dziś, w związku z przemianami społecznymi, politycznymi i gospodarczymi najlepszy człowiek w życiu prywatnym, najlepszy fachowiec w pracy zawodowej, jeśli nie będzie wiązał swej pracy z pracą ogółu, jeśli nie będzie myślał kategoriami społecznymi, może się stać nie tylko mało pożytecznym, ale nawet szkodliwym. Związek Zawodowy Pracowników Spółdzielczych kładzie wielki nacisk na kulturę społeczną wszystkich swoich członków, na wzajemne podciąganie się wzwyż, ale spółdzielcy muszą też wyjść z tą pracą uspołeczniającą nazewnątrz wszystkich placówek spółdzielczych".

Związek Zawodowy Pracowników Spółdzielczych należy do tych nielicznych związków zawodowych, które swych członków organizować muszą we wszystkich zakątkach Rzeczypospolitej, ponieważ placówki spółdzielcze rozsiane są po całym kraju. Docierają i do małych osad i wsi, budując tam swe najmniejsze zespoły organizacyjne. Na szczeblu powiatu działa w Polsce 259 oddziałów Związku skupiających razem ponad 100 tys. członków. Dużą wagę przywiązuje zarząd Związku do akcji oświatowo - kulturalnej, zwłaszcza do przeszkolenia ideowego pracowników spółdzielczych. Dla kierownictwa świetlic, których jest w kraju 30 są szkolone kadry we własnym domu szkoleniowym w Otwocku. Świetlice posiadają koła dramatyczne, chóry śpiewacze, orkiestry. Oprócz stałych bibliotek są biblioteki ruchome, składające się z 20 kompletów 100-tomowych. Słabiej rozwija się dotychczas akcja odczytowa. Utworzono 3 stypendia dla dzieci pracowników spółdzielczych po 2.500 zł miesięcznie. Urządzane są wycieczki krajoznawcze. Rozwija się coraz bardziej akcja wczasów. Związek posiada 7 własnych domów wypoczynkowych; nadto 20 domów wypoczynkowych pozostaje do dyspozycji z ramienia central spółdzielczych.

Istnieje również Kasa Przezorności, która udzieliła 447 pożyczek na sumę 3.400.000 zł. Projektowane jest udzielanie zapomóg bezzwrotnych: urodzinowych, ślubnych i pogrzebowych.

Podkreślić należy, że duży nacisk jest czyniony na ściśle związanie pracowników spółdzielczych z członkami spółdzielni i komitetami członkowskimi, funkcjonującymi przy spółdzielniach. Od akcji w tym kierunku pracowników spółdzielczych zależy w dużej mierze rozwój ruchu spółdzielczego w Polsce. W tej akcji specjalną rolę do odegrania mają kobiety pracujące w spółdzielczości.

ODBUDOWA POLSKIECO ZIELARSTWA

Zielarstwo w Polsce nie stało przed wojną na wysokim poziomie rozwoju. Była to dziedzina prawie zupełnie zaniedbana.

Najintensywniej zajmowano się zielarstwem na Wileńszczyźnie, ale ta dziedzina pracy miała raczej charakter chałupniczy: zbierano z pola zioła, segregowano i używano je przeważnie dla celów leczniczych.

O racjonalnej hodowli ziół na większą skalę dla celów nie tylko leczniczych, ale i konsumcyjnych oraz technicznych nie myślano.

Hodowlę ziół prowadzono (jednak również w skali niewielkiej), tylko w Polsce zachodniej.

Dziś istnieją na Pomorzu dwie poważne plantacje ziół: w okolicy Bydgoszczy i Grudziądza.

Przyrodzone możliwości naszego kraju pod względem uprawy ziół nie są przecież w pełni wyzyskane.

Toteż oddziały rolnicze „Społem" przystąpiły do odbudowy produkcji zielarstwa w jak najszerszym zakresie nie tylko dla celów potrzeb wewnętrznych. ale także eksportowych.

Zielarstwo jako surowiec jest bardzo poszukiwanym za granicą towarem. Eksportując zioła w stanie nie tylko surowym, ale przerobionym, możemy walnie się przyczynić do poprawienia naszego bilansu handlowego.

Przed wojną eksportowaliśmy nasz cenny surowiec zielarski do Niemiec, a stamtąd otrzymywaliśmy go w stanie przetworzonym na środki lecznicze, za co płaciliśmy wielkie sumy.

Przede wszystkim czas pomyśleć o uniezależnieniu się od obcego importu. Dość powiedzieć, że, mając w kraju pierwszorzędny surowiec, w ubiegłym roku sprowadziliśmy np. rumianek z zagranicy.

Czechosłowacja dawno już zrozumiała jak cennym artykułem są przetwory zielarskie, toteż ta dziedzina hodowlana stoi tam na bardzo wysokim poziomie.

Wychodząc z tego założenia, „Społem" rozpoczęło akcję w swoim zakresie i zorganizowało we wszystkich miastach wojewódzkich w okręgowych oddziałach rolniczych specjalne referaty ziół, działające jako hurtownie, mające na celu skup tego cennego surowca.

Rolnicy, którzy by pragnęli zająć się hodowlą ziół, mogą zgłaszać się do tych referatów po informacje, które są udzielane bezpłatnie.

Referaty zielarskie skoordynują działalność rozsianych po całym kraju spółdzielni zielarskich i przyczynią się do nadania właściwego kierunku ich pracom.

MŁYNARSTWO przechodzi w ręce spółdzielcze

Na podstawie ustawy o nacjonalizacji przemysłu wszystkie upaństwowione młyny, które podlegały Państwowemu Zjednoczeniu Młyńsko - Piekarnianemu przechodzą obecnie w ręce spółdzielczości. Jeszcze w połowie ubiegłego roku Zjednoczenie Młyńsko - Piekarniane oddane zostało pod zarząd Związkowi Gospodarczemu Spółdzielni R. P. „Społem". Ostatnio Minister Aprowizacji i Handlu wydał zarządzenie o likwidacji Zjednoczenia. Na podstawie tego zarządzenia majątek Zjednoczenia oraz wszelkie młyny przez to Zjednoczenie administrowane przekazane zostają Związkowi „Społem". Spod powyższego zarządzenia wyjęte są młyny o zdolności przemiałowej poniżej 15 ton na dobę, zostają one bowiem przekazane na podstawie odrębnych przepisów miejscowym spółdzielniom Samopomocy Chłopskiej lub Spółdzielniom Spożywców. W ten sposób spółdzielczość przejmuje w swoje ręce prawie całkowicie przemysł młynarski,

PRZYGODY ZAGŁOBY

Idziemy do teatru

(Rys. Jerzy Zaruba)



— Więc to ma być ta najnowsza w Warszawie sztuka? Nie, mościa panno, nie o to mi chodzi! „Oresteję" nieboszczyk Ajschylos dwa tysiące lat temu napisał, a ja bym chciał coś naprawdę nowego zobaczyć!



— „Żołnierz królowej Madagaskaru"? Na tamtym świecie już przed stu laty mi to opowiadano. Czyżby w warszawskich teatrach od wieku żadnych zmian nie było? Gdzież młodzi pisarze, gdzie nowe tematy?



— Ta „Subretka" także leciwa i porządnie myszką trąci. Podobno „Zielona gęś" miała odświeżyć ten lokal, tylko że dyrektorzy, poczubiwszy się za wczasu, przednią myśl zarzucili. Ostatnia deska ratunku to „Dwa teatry", sztuka podobno całkiem nowa.

BAJECZKI

Janusz Odrowąż

Święta za pasem

„Święta za pasem" — mówi żona, niedwuznacznie wyciągając rękę.

„Święta — zapasem" — sprytnie odpowiada mąż, proponując, by tegoroczne święta opędzić zapasem posiadanych jeszcze przydziałów UNRRA. Z góry jednak można przewidzieć, że kobiety zwyciężą, mężowie ustąpią i będziemy mieli jakie takie, lepsze lub gorsze, lecz, w każdym razie, tradycyjne święta.

Dlatego nie od rzeczy będzie pokrótce przypomnieć co i jak, bo lata wojny niezbyt hołdowaniu tradycji sprzyjały.

PISANKI

Na wyraźne życzenie męża sporządza je w pewien czas przed świętami żona.

Mąż czyta, czyta, kręci głową, marszczy czoło, potem przekreśla pisanki i sam robi nowe. Wyrzuca przy tym takie pozycje, jak „4 kg schabu" lub „35 jaj".

Żona spazmuje, mąż tupie, z boku przygaduje teściowa, wreszcie wspólnym wysiłkiem powstaje trzecia, kompromisowa pisanka, której wynik będzie zresztą i tak przekroczony.

NAROBIĆ BIGOSU

Rozpoczyna tę tradycyjną czynność pan domu, zamawiając u znajomego kolejarza kiełbasę i żeberka, które żona zamówiła już gdzie indziej. Następnie oboje cofają zamówienia, dzięki czemu dom zostaje bez odrobiny żeberek i kiełbasy. Mimo wszystko bigos jakoś się robi, bo, według znanej maksymy, to potrawa boska, czyli jeden Pan Bóg wie, co tam jest.

SZYNKA Z DUSZKIEM

Nie jest to, jakby się mogło zdawać, potrawa niezwykła, uduchowiona obecnością jakiegoś dobrego duszka. Wprost przeciwnie, szynkę z duszkiem spotykamy podczas świąt w bardzo wielu domach, co tłumaczy się przezornością gospodyń, nabywających ten obiekt zawczasu.

Duszek nie należy bynajmniej do kategorii duszków dobrych, ale zneutralizować go można sporą ilością musztardy. Goście zakatarzeni w ogóle go nie dostrzegają. Zapraszać takich trzeba na szósty, lub siódmy dzień świąt.

BABY TARTE

Stary, ale jary satyryk Naruszewicz dawał taki przepis:

„Położywszy babę na stole, dobrze ją kijem ucierać, przez co skruszeje i lepszą się stanie".

Przepis ten, dość trudny do wykonania w obecnej dobie zdrowych, krzepkich bab, polecam tylko najtęższym, niewycieńczonym wojną repatriantom.

PRZEKŁADANIEC

Nie ma nic wspólnego z Florianem Sobieniowskim, tłumaczem dzieł Shawa. Jest to po prostu słodkie, mdłe ciasto, które tatuś przekłada ze swego talerzyka na talerzyk mamusi, a mamusia przekłada z powrotem, bo tatuś musi spróbować.

MAZUREK PIASKOWY

Wydaje miły trzask w zębach. Sporządzić go łatwo z mąki, otrzymywanej na kartki.

GOŚCIE

Do wyżej opisanych potraw dołączamy pewną ilość płynnej perły, po czym kłócimy się z żoną, w oczekiwaniu gości.

W momencie największego piekła, gdy zaczynają już latać małe spodeczki z ćwikłą, przychodzą goście z życzeniami „Wesołych Świąt".

Należy się rozpogodzić, serdecznie poprosić do stołu i nie żałować jedzenia. Aluzje w rodzaju „Ah, te święta, ciągle się je i je" są brakiem taktu ze strony gospodarza, bowiem świnia i gość nigdy nie ma dość.

Spustoszenia w zapasach można sobie częściowo odbić, przebierając daleką krewną za pomocnicę domową. Trzeba jednak w odpowiedniej chwili stać koło niej w przedpokoju, bo inaczej goście się nie wywiążą i krewna może coś niecoś nawalić.

To wszystko.

Acha, jeszcze jedno! Jeśli urżnięty gość zacznie śpiewać przy stole „Wśród nocnej ciszy" zamiast „Wesoły nam dzień dziś nastał" nie wyprowadzaj go z błędu i sam uderz się w piersi. Bo i tobie, drogi przyjacielu, nie o melodię, lecz o okazję chodzi!



— Widzę, że nomen omen — istotnie dwa teatry co drugi dzień tu grają. Starej „Halki" widzieć nie pragnę zwłaszcza że (jak mówią) operetkę z niej zrobili. Wracaj waćpanna do domu, a ja pójdę do knajpy na wódkę...

SKLEROZA

CO TYDZIEŃ NAGRODA

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł otrzymała redakcja „Odrodzenia" (Warszawa, Daszyńskiego 14) za umieszczenie w nr 11/120 następującego komunikatu:

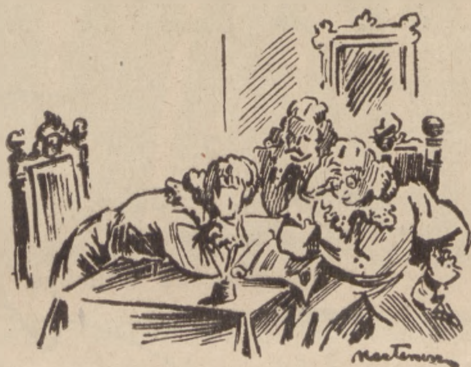
CAMERA OBSCURA
CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura". Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura", pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", Warszawa, Daszyńskiego 14, dział „Camera obscura". Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. Komentarze nie są potrzebne. Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza nagrodę w wysokości 1000 zł, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nihil novi sub sole. Może „Tydzień" kolekcjonować „Sklerozę" ludzką, mogą „Szpilki" zapraszać do „Gabinetu osobliwości", więc i „Odrodzeniu" wolno uprawiać podobną zabawę. Wprawdzie troszkę nieprzyjemne wrażenie wywiera wysokość nagrody: tysiąc złotych, to już kapitał! Nagroda „Tygodnia" była raczej honorowa, niby ów starożytny wieniec laurowy, który nie stanowił praktycznie żadnej wartości, ale miał wysoką cenę uczuciową. Tysiąc złotych— to już interes, to podbijanie ceny, podbijanie klijentów, hazard, czarna giełda, „szpekulacja"! Ale co to ma do rzeczy? — zapytują czytelnicy: — nas interesuje przyczyna, dla której „Odrodzenie" za swój komunikat dostało się do „Sklerozy". Przyczyna jest taka: Kiedy „Tydzień" w nr 11 z dn. 22.9.46 zaprosił czytelników do współpracy w „Sklerozie", powołał się lojalnie na przedwojenne „Wiadomości Literackie", które taki sposób redagowania niniejszego działu niegdyś wprowadziły. Oczywista, i one nie były w tym całkiem oryginalne, mimo wszystko jednak prawo pierwszeństwa winno być szanowane. „Odrodzenie" nie tylko wprowadza ten sam tytuł działu, jaki mu nadały „Wiadomości Literackie", ale i cały jego komunikat jest dosłownym powtórzeniem komunikatu, jaki się stale, w każdym numerze „Wiadomości" ukazywał. Jeśli ktoś coś po kimś powtarza jako swoje i nie pamięta, skąd to bierze, jest to dowód t. zw. amnezji czyli zanik pamięci, amnezja zaś, jak wiadomo, rozwija się na tle miażdżycy tętnic, inaczej zwanej sklerozą. Oto dlaczego „Odrodzenie" znalazło się w naszym dziale.

ANEGDOTA HIRTORYCZNA

Ludwik XIV (1645 — 1715), podbijając w r. 1672 Niderlandy, stanął u bram Amsterdamu. Popłoch ogarnął mieszkańców i ojców miasta, którzy nie widzieli sposobu przeciwstawienia się potędze króla francuskiego. Zebrali się na naradę, w ciągu której jeden zgrzybiały radny zasnął. Tymczasem uchwalono jednomyślnie poddanie miasta Francuzom. Po uchwale obudzono starca.



— Co się stało? — zapytał ze snu.

— Postanowiliśmy udać się natychmiast do króla francuskiego i wręczyć mu klucze miasta.

— Tak długo spałem — powiedział stary, drapiąc się w perukę: — Więc już zażądał kluczy?

— Nie. Nie żądał dotychczas.

— Czemuż się w takim razie, moi panowie, tak śpieszycie? Poczekajcie przynajmniej, aż sam o nie poprosi.

Tej uwadze i Amsterdam i całe Niderlandy zawdzięczały swoją wolność.

Z placówek wytwórczych „Społem"

Zakłady Wytwórcze w Kielcach

Jedną z nastarszych i bezwątpienia największą placówką wytwórczą „Społem" są Zakłady Wytwórcze w Kielcach (ul. Młynarska 93-95). Zakłady te nabyte zostały przez „Społem" w 1919 r. a uruchomiono je we wrześniu 1920 r.

Produkcja zakładów, które w chwili obecnej zatrudniają 480 pracowników obejmuje następujące działy: przemysłu spożywczo - chemicznego, kosmetyczno - mydlarski, papierniczy, tartak i stolarnię oraz działy pomocnicze.

Dział przemysłu spożywczo - chemicznego obejmuje wytwórnię drożdży z uruchomioną w styczniu 1946 r. gorzelnią drożdżową, wytwórnią octu i musztardy z nowouruchomionym systemem Fringsa, wytwórnię bulionów, produkującą przyprawy do zup, kostki bulionowe i zupę w kostkach.

Dział mydlarski obejmuje: wytwórnię mydła zwyczajnego i szarego, wytwórnię mydła toaletowego i do golenia, wytwórnię proszku do prania, wytwórnię świec pokojowych, choinkowych i nagrobkowych, wytwórnię pasty do obuwia oraz płynów do czyszczenia mebli.

Dział kosmetyczny obejmuje: wytwórnię pasty i proszku do zębów, proszku do mycia włosów, kremów oraz wód kosmetycznych: kolońskich, kwiatowych i lawendowych.

Dział papierniczy obejmuje produkcję: tutek i bibułek do papierosów, toreb papierowych i różnych elementów opakowań własnych.

Tartak produkuje tarcicę oraz posiada wytwórnię skrzyń, wytwarzającą opakowania drewniane dla własnych potrzeb Zakładów i innych placówek „Społem".

Stolarnia produkuje na potrzeby własne Zakładów oraz wykonuje urządzenia sklepowe i magazynowe dla placówek spółdzielczych i innych instytucyj.

Zakłady pasiadają następujące działy pomocnicze: warsztat mechaniczno-elektrotechniczny z narzędziownią, warsztat samochodowy, własną chłodnię z uruchomioną w 1946 r. wytwórnią sztucznego lodu, własną szwalnię i pralnię.

Obroty Zakładów, które są przedsiębiorstwem dochodowym osiągnęły w 1946 r. kwotę 304 milionów złotych.

Zakłady kieleckie są wciągnięte w orbitę 3-letniego Planu Gospodarczego i w styczniu br. wykonały ponad 100 proc. przewidzianego planu produkcji.

Placówka posiada świetlicę pracowniczą, chór i orkiestrę. W Zakładach rozwija się życie sportowe przy istniejącym klubie sportowym „Tęcza", posiadającym do swojej dyspozycji kort tenisowy, basen pływacki, urządzenia do piłki siatkowej i do gry w ping-ponga. (a)

SPROSTOWANIE

W numerze 12 (36) „Tygodnia" zaszła omyłka w dziale rozrywek umysłowych. Aby sens zadania był realny należy rysunek „Bikwadratu magicznego" opracowany przez p. E. Grójnackiego odwrócić o 90°. W związku z tym przedłużamy termin nadsyłania rozwiązań do 10 kwietnia b. r. po czym ogłosimy wyniki trzeciego konkursu.

IV KONKURS „TYGODNIA" na rozrywki umysłowe

W numerze dzisiejszym ogłaszamy czwarty konkurs „Tygodnia" na rozrywki umysłowe, które podawać będziemy w dziesięciu kolejnych numerach.

Jako nagrody Redakcja przeznacza 30 nagród książkowych i 20 nagród prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą 3 punkty. Suma największej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy do Redakcji „Tygodnia", Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8.

Jednocześnie przypominamy, że konkurs ten jest połączony z konkursem autorskim, prosimy więc po zakończeniu konkursu wskazać 3 najlepsze zadania zamieszczone w ramach tego konkursu. Autorom wyróżnionym przez czytelników przyznane będą wartościowe nagrody. Sądzimy, że w ten sposób wartość zamieszczonych zadań jeszcze bardziej podniesie się.



TYDZIEŃ MODY



1) Wizytowa suknia z ciemnego jedwabiu. Wstawki z koronki w odpowiednim kolorze. Spódniczka trochę zmarszczona nadaje całej sukni powiewny wygląd.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Stany Zjednoczone AP. — Dn. 11 lutego, z okazji setnej rocznicy urodzin słynnego fizyka — wynalazcy Thomasa Alvy Edisona, zmarłego 18 października 1931 roku, ukazał się specjalny znaczek o najpopularniejszym nominale 3 c w kolorze lila-purpurowym.

Tę samą rocznicę uczciła jednym znaczkiem pamiątkowym słowiańska **Bułgaria.**

Brazylia. — Pięćdziesiątą rocznicę powstania Akademii Nauk uczczono dnia 18 grudnia 1946 r. wydaniem specjalnego znaczka wartości 40 c.

Meksyk. — Czterechsetną rocznicę założenia miasta Zacatecas upamiętniono pięcioma znaczkami opłaty: 2 c i 12 c (herb miasta), 1 p (pomnik generała Gouzalesa Ortegi), 5 p (pisarz Ramon Lopez Velarde) i 10 p (Don Francisko Garcia Salinas) oraz czterema znaczkami lotniczymi: 30 c (Fr. Margil de Jesus i widok miasta), 1 p (Don Genaro Codina i widok miasta), 5 p (Gral. Enrique Estrada i widok miasta) i 10 p (D. Ferdinando Villalpando i widok miasta).

*

Na liczne zapytania podajemy listę polskich ekspertów:

1. Prof. A. Łaszkiewicz, Warszawa, Chmielna 34 m. 20 (wszystkie znaczki polskie).
2. W. Rachmanow (adres chwilowo nieznany).
3. T. Gryżewski, Łódź, Piotrkowska 47 (lotnicze, Odessa, lokalne i polskie 1944—47).
4. Płk. Arcimowicz, Łódź, Narutowicza 27 (Gdańsk i Port Gdańsk).

(wo)

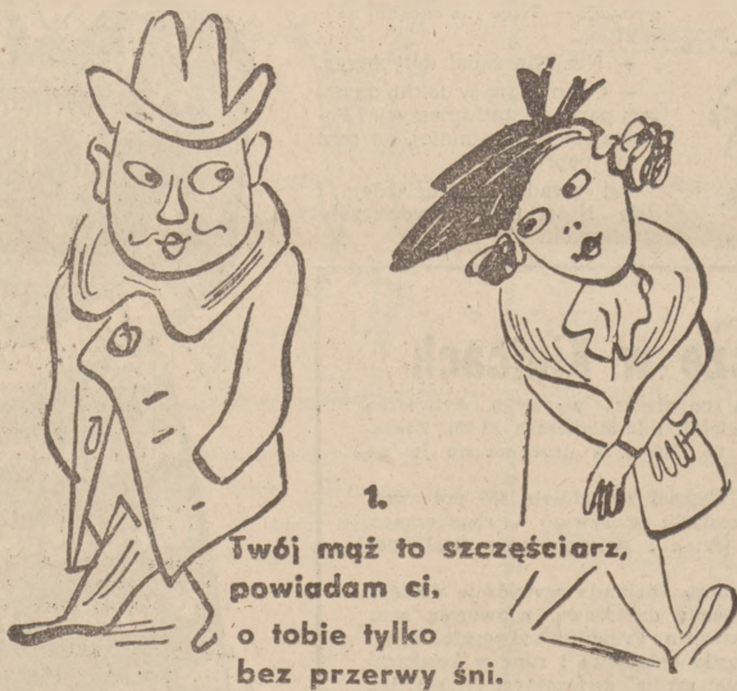
(Reprodukowany znaczek otrzymaliśmy z Biura Filatelistycznego T. Gryżewski, Łódź, Piotrkowska 47).

TYDZIEŃ

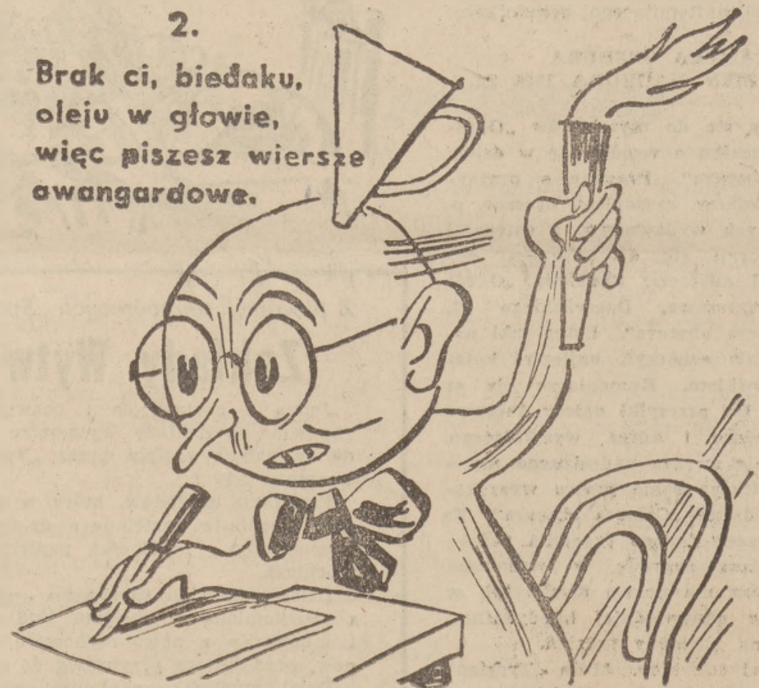
Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
TELEFONY. Redakcji 86-164
Administracji 88-715
Oddział w Łodzi, ul. Mariana Nowotki (dawniej Pomorska) 37
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna zł 40.
Konto P.K.O. Warszawa Nr I-4766
Konto PKO, Łódź VII nr. 4321
Ogłoszenia: za 1 mm. wysokości na szerokość 1 szpalty — 50 zł.
Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka". Warszawa, Smolna 12 B-20383

NOWE POCZTÓWKI PRIMAAPRILISOWE

Rysunki: Kazimierz Grus



1\. Twój mąż to szczęściarz, powiadam ci, o tobie tylko bez przerwy śni.



2\. Brak ci, biedaku, oleju w głowie, więc piszesz wiersze awangardowe.



3\. Może nie jesteś nazbyt kusząca lecz za to bardzo pociągająca



4\. Wart jest orderu, bo w czoła pocie swój plan wykonał na 200 procent.



5\. Teraz przynajmniej będzie spokojnie, bez rewelacyj o nowej wojnie.



6\. Giną ustroje, trony padają, a rogi ciągle ci pozostają.